

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MARZEC 2014/1

AUTOSTOPOWICZKA | BERSERKER | DO M.
GŁÓD | NACHNIECIE
NIE ISTNIEJE | ON | PROMOCJA
Z PAMIĘTNIKA KAMERZYSTY
ZMYWARKA

www.facebook.com/magazynhisteria



SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
AUTOSTOPOWICZKA	Marek Ścieszek	4
BERSERKER	Karol Mitka	11
DO M.	Piotr Majdański	15
GŁÓD	Olga Kaczmarek	24
NATCHNIENIE	Maciej Zawadzki	30
NIE ISTNIEJE	Szymon Dressler	40
ON	Grzegorz Kopiec	47
PROMOCJA	Michał Wzgarda	57
Z PAMIĘTNIKA KAMERZYSTY	Inga Gumieniak, Łukasz Kiełbasa	63
ZMYWARKA	Agnieszka Pilecka	80

Redakcja: Błażej Jaworski, Joanna Wygachiewicz, Maciej Zawadzki

Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk

Ilustracje: Anna Nowacka, Roman Panasiuk

Korekta: Monika Mikołajewicz, Joanna Wygachiewicz

email: magazynhisteria@gmail.com

Drodzy Czytelnicy,

Wchodźcie do pierwszego numeru Histerii. Uważajcie na grasujące zombii, przypadkowych autostopowiczów i germańskiego wojownika. Tu nawet sala weselna nie jest bezpieczna, a obrazy na ścianach żyją własnym życiem.

Zaciekawieni? To dobrze, bo cel tego magazynu jest jeden – zasianie zbiorowej histerii. Liczymy, że wpadniecie w nią sami i zarazicie swoich bliskich. Zadbało o to jedenastu pisarzy, w tym sam redaktor.

Drodzy Pisarze,

Stephen King napisał kiedyś, że jeżeli ze swojego pisania jesteście w stanie opłacić rachunki, to można powiedzieć, że macie talent. Histeria nie zagwarantuje, że będziecie mieć wodę i światło, ale z pewnością pomoże dotrzeć Waszym talentom do szerszego grona odbiorców.

Życzymy Wam, byście po tej lekturze długo nie mogli zasnąć,

Histeryczna Redakcja





Rus Roman Panasiuk

AUTOSTOPOWICZKA

Marek Ścieszek

Oświetlenie obrysowe tira u postronnego widza zapewne mogło wywoływać złudzenie, iż nie jest to sunąca przed siebie leśną drogą ciężarówka, lecz wielki transatlantyk prujący fale poruszonego sztormem oceanu. Mgła rozpraszająca przednie światła oraz biel spowijająca drzewa i asfalt również sprzyjały takiemu wrażeniu.

Mietek był w siódmym niebie. Po pierwsze, już samo prowadzenie takiej wielkiej maszyny dawało mu poczucie władzy nad innymi użytkownikami dróg. Mógł patrzeć na nich wyłącznie z góry bądź na wprost, jeżeli miał do czynienia z równymi sobie. Dodatkowy smaczek stanowiła sceneria jak z bajki. Wokół mnóstwo skrzącego się śniegu, lekka mgła, która ograniczała widok, i lasy. Wszędzie lasy. Wprawdzie zmuszało go to do zmniejszenia prędkości, w zamian jednak mile łechtalo prywatne poczucie piękna.

Kilkaście minut temu na powierzchni szczęścia absolutnego pojawiła się rysa – Mietek zabrał autostopowicza. Co takiego było w tej kobiecie, że postanowił zatrzymać dla niej swoją szesnastołową bestię? Mietek rzadko zabierał łebków. Świadom tego, jak skurwiałe nastąpiły czasy dla porządných obywateli, nie dość dobrze chronionych prawem przed różnego rodzaju morderczymi czubkami, byłby ostatnim naiwnym, pozwalając zasiąść na fotelu pasażera komuś, kogo widzi po raz pierwszy na oczy. Kara śmierci wprowadziłaby jego zdaniem trochę porządku w tym pod wieloma względami chorym kraju – w którym morderczynie własnych dzieci stają się celebrytkami nakłanianymi do wywiadów przez popierdalone media, przez pierdolniętych wydawców zaś do publikowania autobiografii. Tu dzieciak z pełnym samozadowolenia uśmieszkiem na przyszczatej gębie przynosi na komisariat własnoręcznie urznęną głowę

matki kumpla, a grupa ludzkich mend wypycha z pędzącego pociągu dziewczynę w ramach prezentu urodzinowego dla jednego z nich. Kara śmierci odebrałaby im wszystkim przekonanie o bezkarności.

Mało to słyhać o autostopowiczach mordujących kierowców? Kobieta nie wyglądała na psychopatkę. Skulona przy drodze i machająca ręką nie wyglądała nawet na człowieka. Przypominała karłowate drzewo z poruszonym siłą wiatru uschniętym konarem. Przemarznięta i zasmarkana wdrapała się do środka, zdjęła z grzbietu płócienny plecak i po zapięciu pasów położyła go sobie na kurczowo ściśniętych udach.

Mietek, nie uzyskawszy od niej niczego poza kilkoma mruknięciami, uznał, że jej małomówność wynika z dyskomfortu fizycznego i przez dwa lub trzy kilometry nie odzywał się, zerkając tylko od czasu do czasu, czy nie znikła jak sen. Była nadal w grubym palcie, którego kaptur zasłaniał jej pół twarzy, z szalikiem na szyi oraz w rękawiczkach – drżąca, pociągająca nosem. Milcząca. Mietek nie był tutejszy, często jednak jeździł tą trasą i wiedział, że najbliższa miejscowość znajduje się nie bliżej niż piętnaście kilometrów stąd. Dał więc kobiecie czas na podładowanie akumulatorów.

Kiedy otworzył usta, aby zadać pierwsze kontrolne pytanie, choćby to, gdzie nieznajomą wysadzić, zobaczył wpatrzony w siebie białka jej oczu i zamiast pytania z gardła wydobyło się tylko ciche kasznięcie.

— On chciał mnie zabić.

Kurwa!

— Słucham?

— Człowiek, którego zabrałam do samochodu. Autostopowicz. Chciał mnie zamordować.

Mietek przełknął głośno ślinę.

— Zrobił pani krzywdę?

Zaprzeczyła krótkim ruchem głowy.

— Nie zdążył. Wysadziłam go, zanim zdołał to zrobić.

Wariatka. Może niebezpieczna?

— To skąd pani wie, że chciał ją zamordować?

— Pan mi nie wierzy?

Wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

— Wracałam z pracy po drugiej zmianie, a on stał na poboczu, kilkanaście metrów za tablicą z nazwą miasta, na samej jego granicy, rozumie pan? Stał i machał ręką. Normalnie nie zatrzymuję się, by zabrać łebków, ale jechałam wolno, bo było ślisko i miałam czas mu się przyjrzeć. Był wysoki, w drogim płaszczu, w dłoni trzymał neseser. Wyglądał na jakiegoś urzędnika, a nawet pośła.

— To żaden powód, aby się zatrzymywać. Wręcz przeciwnie. W życiu bym się dla żadnego z pośłów nie zatrzymał. Może nawet lekko bym skręcił w prawo.

Miał być to żart dla rozładowania napięcia, ale kobieta nie zrozumiała. Patrzyła przez chwilę na niego, rozważając wtrącone mimochodem słowa.

— Ja się zatrzymałam — uświadomiła go poważnym tonem — i początkowo

wszystko było w porządku. Miał miłą, dokładnie ogoloną twarz, uśmiech nie schodził mu z ust. Wzbudzał zaufanie, był elokwentny i zabawny. Opowiedział dowcip, taki makiabryczny, ale prześmieszny. Lubię czarny humor, kotkę nazwałam Trumna. Rozumie pan, taki żart. Jest brązowa, a kiedy otwiera pyszczek, aby ziewnąć, to tak zabawnie skrzypi. A potem... potem... on.

Mietek nie ponaglał. Czekał cierpliwie.

— Nadal uśmiechnięty spojrzał na mnie tymi swoimi jasnymi oczami i powiedział: „Twoja głowa wspaniale by się prezentowała w słoiku”. Rozumie pan? Tak do mnie powiedział. Moja głowa wspaniale by się prezentowała w słoiku. To już nie było śmieszne. Ba! Mietek też by się nie śmiał. Zatrzymałby tira, aby wykopać urzędniczynę razem z jego płaszczem i neseserem. Wcześniej oklepałby mu facjatę i spróbował z niej odlepić uśmiezek. Jakby się nawet nie udało, to nie miałby później z tego powodu nieprzespanych nocy, świadom, że przynajmniej się starał.

— Nie wiem, czy wyczuł, że stałam się nieufna. Wie pan, jestem tylko kobietą, gdyby postanowił coś mi zrobić, nawet bym nie potrafiła mu w tym przeszkodzić. Potem jeszcze powiedział, że mam bardzo kształtne uszy i opowiedział historię o pewnym żołnierzu, który z misji w Iraku przywiózł naszyjnik z uszu tubylców. Składały się nań uszy nie tylko dorosłych mężczyzn, ale również kobiet i dzieci. Trudno było coś takiego uznać za przejaw wisielczego humoru. Jak pan uważa?

Mietek chrząknął oszołomiony.

— Jak się pani... no... jak się udało pani uciec?

— Udałam, że samochód złapał gumę. To nie jest trudne. Wystarczy wprowadzić auto w lekki poślizg, taki kontrolowany. Zatrzymałam i poprosiłam, aby wyszedł i się przyjrzał. A kiedy mnie posłuchał, odjechałam, z otwartymi drzwiami od strony pasażera. Nie odważyłam się zatrzymać samochodu, aby je zamknąć. Przymknęły się same po jakimś czasie. Ale trzy kilometry dalej wpadłam jednak w poślizg i wjechałam do rowu. Myślałam tylko o ucieczce przed tym świrem i zrobiłam się nieostrożna. Skinął głową, myśląc jednocześnie, że w okolicy, z której zabrał kobietę, nie widział żadnego samochodu w rowie.

— To zrozumiałe — mruknął. — Sam bym wiał, gdzie pieprz rośnie.

— Nic mi się nie stało, może oprócz kilku otarć. Mimo wszystko nie trzeba dużej prędkości, aby w tych warunkach stracić kontrolę nad samochodem. Zwłaszcza, jeśli to małe i lekkie auto z wąskimi oponami. Kiedy już opanowałam nerwy, zajrzałam do jego neseseru, który został na podłodze przed fotelem pasażera. Wie pan, co było w środku? Nóż myśliwski, nic poza tym. Żadne papiery urzędnicze, skarpety na zmianę, pieniądze czy drugie śniadanie. Nóż z ogromnym, szerokim ostrzem, karbowanym na końcu. Takim nożem myśliwi oprawiają swoje trofea. To daje do myślenia, prawda?

Mietek na temat niebezpiecznych czubków miałby do powiedzenia zdecydowanie więcej, niżby ta biedna kobiecina zdołała ogarnąć rozumem, a także na temat tego, co prawo powinno z takimi robić. Niekoniecznie nająłby się do pracy jako kat, gdyby państwo ogłosiło wakaty, ale z pewnością temu szczególnemu gościowi postawiłby piwo. Duże,

zimne, okraszone braterskim uściskiem dłoni oraz wsparciem moralnym.

— Współczuję. Dzwoniła pani na policję?

— Rozłądowała mi się komórka.

Sięgnął do schowka.

— Nie szkodzi. Zadzwonimy z mojej.

Kobieta szybkim ruchem zacisnęła palce na jego dłoni. Rękawiczka była mokra i zimna. Mietek odruchowo wyszarpnął się i otarł dłoń o koszulę na piersi. Poczuł ukłucie w okolicy lewej skroni. Niemal natychmiast pojawił się lekki ból. Nawrót migreny, niech ją chuj strzeli!

— Nie trzeba. — Głos kobiety osiągnął dziwne, piskliwe rejestry, potęgujące tylko migrenę. — Jedyne, czego potrzebuję, to gorący prysznic. Nie chcę żadnych wielogodzinnych przesłuchań ani kolejnych wypraw do miasta czy okolic, gdzie zostawiłam tego wariata. Chcę tylko wziąć prysznic i odespać to wszystko. Zadzwonię rano. Sama. To przecież pana nie dotyczy.

Cóż. Była niedoszłą ofiarą, o ile wierzyć jej słowom. Gdzieś tam za jego plecami czaił się przy drodze rozbrojony, ale jednak, maniak. Trzecią osobą w tym łańcuszku wątpliwego szczęścia był on, Mietek. Czy to go nie dotyczyło? Jego zdanie na ten temat było skrajnie inne niż tej kobiety. Niech już, do kurwy nędzy, przestanie tak pisać, bo łeb mu zaraz pęknie!

— Pani decyzja.

Nawracające bóle głowy. Mietek miewał z nimi problemy. Pojawiały się niespodziewanie, nie dało się ich w żaden sposób przewidzieć ani też stwierdzić, czy interwały zdrowia, raz dłuższe, innym razem krótsze, były skutkiem zażywania leków. Bywało, iż przerywał leczenie, bóle zaś nie wracały miesiącami. Kiedy indziej znów pojawiały się, mimo ogłupiania się garściami przepisywanych przez lekarzy farmaceutyków. Mietek pamięta sytuacje, w których migreny równie szybko odchodziły, jak się pojawiały. Częściej jednak nie miał takiego szczęścia – szczegółów tych przypadków nie potrafił sobie później przypomnieć.

Powinien zatrzymać tira na najbliższym parkingu albo choćby na poboczu. Jeżeli urwie mu się film przy osiemdziesięciu kilometrach na godzinę, ból głowy może się stać najmniejszym jego problemem.

Kobieta mówiła, ale jej głos nagle przestał do niego docierać.

— Zatrzymamy się na chwilę — wymamrotał.

Twarz pasażerki trochę się w jego oczach rozmyła. Wyglądała teraz, jakby ją widział przez szybę, na którą pada deszcz. Sekundę później się wyostrzyła.

— Nic panu nie jest? Wygląda pan, jakby zobaczył ducha.

Co ona mówi? Nieistotne. Ogromny szesnastokołowiec zaczął zwalniać. Zapiszczały hamulce.

W głowie Mietka siedział teraz zwariowany sukinkot. Ten mały drań odpalał petardę za petardą i rzucał, odpalał i rzucał, a echo wystrzałów rozsadzało czaszkę od zewnątrz. Bogu dzięki za uszy, którymi mogła chociaż w niewielkiej części uchodzić

energia, wyzwalana wskutek szaleństwa człowieka z głowy Mietka.

Czy to babsko mogłoby się choć na chwilę uciszyć?

— Ma pan bardzo kształtne uszy.

Mietek wytarł nos i ze zdziwieniem przyjrzał się plamce krwi na palcu.

— Krwawię — zauważył.

Kobieta skinęła głową, co zarejestrował raczej jako rozmazany ruch. Przez chwilę wyglądała jak ten psychodeliczny obraz Muncha. Po czym jej skulona postać ponownie się wyostrzyła i Mietek dostrzegł w jej dłoni coś lśniącego, szerokiego, karbowanego z jednej strony. Zdążył zareagować w ostatniej chwili, choć raczej zadziałał instynkt aniżeli ta część mózgu odpowiadająca za świadomość.

Przegub dłoni kobiety był kościsty, a samo babsko silne jak tur. Z unieruchomioną jedną ręką wrzasnęła wściekle i na odlew uderzyła go w głowę drugą. Krew z rozbitego nosa trysnęła na przednią szybę. Mietek jęknął, gdy świat stał się purpurowy. Nie puścił jednak, wykręcił jej dłoń, drugą zaś zdarł kaptur z głowy kobiety. Była wygolona na zero. Białka jej oczu łpały nań wściekle, z dolnej wargi zwisała nitka śliny. Mężczyzna uderzył ją pięścią prosto w usta. Raz, chwilę potem drugi i trzeci. Autostopowiczka zmiękła. Nóż wypadł na podłogę. Jeszcze próbowała coś szemrać, ale złapana za tył głowy i uderzona czołem o deskę rozdzielczą wreszcie zamilkła.

Mietek rozmazał grzbietem dłoni krew na dolnej części twarzy i z niedowierzaniem pokiwał tym skupiskiem piekielnego ognia, któremu jakiś szalony twórca nadał kształt jego głowy.

— Kurwa — rzekł z pełnym przekonaniem, że nie ma lepszego komentarza na podobną sytuację.

Będzie musiał jednak przejechać jeszcze kawałek, aż znajdzie jakiś parking. Ostatecznie może to być nawet leśna droga, w którą da się wjechać i zniknąć tym samym z oczu potencjalnych spóźnionych podróżnych.

Tir stęknął i ruszył. Mietek z jedną dłonią na kierownicy, drugą na gałce dźwigni zmiany biegów, spojrzął na miękki nieruchomy kłębek, zwisający w zapiętych pasach tuż obok na fotelu pasażera, i powiedział coś, czego znacznie później, kiedy ból już minie, nie będzie pamiętał, jak zresztą wielu innych rzeczy:

— Twoja głowa wspaniale by się prezentowała w stoiku.

Tutaj i teraz wydało mu się to niezwykle zabawne. Parsknął śmiechem, plując naokoło kropelkami krwi i śliny.

Już z daleka dostrzegł interesujący go błękitny znak drogowy z dużą literą P. Parking nie grzeszył rozmiarami, ale przecież nie o to chodziło, aby było to miejsce godne króla szos. Od asfaltu oddzielał go pojedynczy szpaler drzew, chyba sosen. Mietek wjechał powoli, dostojnie. Zatrzymał się. Kobieta siedziała nieruchomo z głową opuszczoną na piersi, utrzymywana w pozycji siedzącej dzięki pasom bezpieczeństwa. Jej klatka piersiowa unosiła się delikatnie, z gardła dobywało się ciche pochrapywanie.

Mietek odpiął własny pas i sięgnął po plecak, leżący teraz na podłodze u jej stóp.

Sięgnął do środka. Chwilę pogrzebał, po czym wydobyl z niego coś nierozpoznawalnego. Zmarszczył brwi i zapalił lampkę sufitową.

— Niech to chuj! — krzyknął ze wstrętem i odrzucił znalezione w panicznym odruchu. Odbiło się od przedniej szyby i spoczęło na kratce nawiewu, niczym niemy świadek obłądu, jaki potrafi owładnąć człowiekiem. Naszyjnik wykonany z nanizanych na długi rzemienny pasek ludzkich uszu, po części starych, zasuszonych, lecz również całkiem świeżych. — Ty pojebana krowo.

Facecik w jego głowie nie ustawał w odpalaniu fajerwerków. Chyba również miał nierówno pod sufitem, jak ten tutaj łysy babsztyl. Świat, niestety, wypełniali wariaci, trudno było dać dziesięć kroków, aby przy którymś nie natknąć się na jakiegoś świra.

Mietek przemógł obrzydzenie, otworzył okno, po czym wyrzucił to chore gównno na zewnątrz. Dokonawszy tego, wytarł dłoń o spodnie i ponownie sięgnął do plecaka. Wymacał coś metalowego, niedużego raczej. Łańcuszek. Chyba jakiś medalion. Wydobyl to i cmoknął.

— No, no. Cóż my tutaj mamy?

Nieśmiertelnik. A na nim dane żeńskie, grupa krwi, przydział oddziału oraz jednostki.

— Pani wojak. — Zaraz jednak przypomniał sobie fragment jej opowieści i skrzywił się z odrazą. Czy jedno z tych uszu nie były małe, jakby pochodziły od dzieci? Trudno to było ocenić. Mimo to przełożył łańcuszek nieśmiertelnika przez głowę.

Dla takich kara śmierci to nadal zbyt mało.

W plecaku znalazł jeszcze tylko kilka babskich łachów. Wyrzucił wszystko przez okno i podniósł głowę pasażerki. Powieki miała opuszczone. Żyła. Była nieprzytomna czy tylko udawała? Podniósł jedną z jej powiek i pstryknął palcami tuż przed okiem.

— Hej, paniusiu.

Żadnej reakcji: mrugnięcia, błysku, rozszerzenia się albo zwężenia źrenicy. Jeśli udawała, to była całkiem dobrą aktorką. Uszczypnął ją w policzek, nie siląc się na delikatność. Jedyną reakcją był słaby jęk.

Pokiwał głową usatysfakcjonowany. W schowku miał parę przydatnych rzeczy. Sięgnął po dwie. Jedną z nich zawiesił sobie na szyi obok nieśmiertelnika. Drugą była taśma do owijania pudeł, szara, z tych najmocniejszych. Owinął nią ciasno nadgarstki obu rąk nieprzytomnej kobiety. To samo zrobił z ramionami na wysokości piersi oraz z przegubami stóp. Przez chwilę bił się z własnymi myślami, po czym założył jednak czapkę, palto i wysiadł na zewnątrz. Obiegł tira od przodu i otworzył drzwi ze strony pasażera. Kobieta nie była ciężka, nawet się nie zasapał, gdy wyciągał ją z szoferki. Nie przejmując się tym, czy oklejona taśmą niczym tekturowe pudełko wariatka nabawi się zapalenia płuc, położył ją na śniegu i zajął się otwieraniem skrzynki na narzędzia ukrytej przemyślnie z boku lawety. Wyciągnął kawał solidnej linki nylonowej, przewiesił przez ramię i zwrócił twarz ku niebu. Kilka zwiewnych śnieżynek osiadło mu na pulsujących bólem wargach, na czole i na policzkach. Zaczynało śnieżyć. Świetnie.

Nie zwlekając, jął taszczyć autostopowiczkę w głąb lasu. Nie na ramionach, aby przypadkiem nie wywinęła mu jakiegoś numeru, gdyby wróciła jej nagle świadomość. Zwyczajnie, ciągnąc jak wór kartofli z rękoma przełożonymi pod jej pachami, orząc obcasami jej butów dwie bruzdy w śniegu. Nie wyczuwał ruchów, nadal była nieprzytomna.

Jakieś sto metrów dalej zatrzymał się. Ponownie położył kobietę na śniegu, po czym, dysząc zmęczony, zdjął linkę z ramienia. Była zbyt cienka, zdecydowanie bardziej nadawały się do tego grubsze, plecione. Jak raz jednak nie miał takiej przy sobie. Cóż, babsztyl miał podwójnego pecha. Sprawnie zaplótł pętlę, założył kobiecie na szyję i zacisnął mocniej. Drugi koniec przerzucił przez konar drzewa, pod którym się zatrzymali.

Podciągana do góry autostopowiczka zaczęła przejawiać oznaki przytomności. Jej unieruchomione na wysokości klatki piersiowej ręce przeszedł dygot. Powieki zatrzepotały, błysnęły spod nich białka oczu. Z gardła dobył się charkotliwy jęk. Palce próbowały wniknąć między nylon a skórę na gardle, lecz bez powodzenia. Pół metra nad ziemią całe ciało zaczęło się szarpać, nogi młóciły wściekle powietrze. Mietek stęknął, gdy stopa kobiety uderzyła go w bok głowy, zdołał jednak owinąć linkę wokół pnia drzewa, korzystając z kilku sęków, dzięki którym linka nie poszorowała w górę po korze.

Odstąpiwszy, ujął wiszącą mu na szyi lustrzaną Olympusa. Włączył i, nie zwlekając ani chwili dłużej, zaczął zapełniać kartę pamięci zdjęciami. Wyzwalany raz po raz flesz dostosował się do rytmu petard odpalanych przez pojeba mieszkającego w Mietkowej głowie.

Mężczyzna czuł rozpierającą w piersi euforię. Ujęcia zapowiadały się naprawdę świetnie. Oryginalnie w porównaniu do wielu poprzednich. Śnieg, który jeszcze kilka minut temu nieśmiało drobił, teraz sypnął zdecydowanie gęściej. Lepiej nie mogło się ułożyć. Zasypie wszelkie ślady obecności tira oraz jego właściciela.



BERSERKER

Karol Mitka

O to, abym przyjechał, poprosiła mnie żona Filipa. Przez telefon nie dowiedziałem się zbyt wiele:

— Odkąd wrócił z tej swojej cholernej wyprawy, dzieje się z nim coś straszego — mówiła łamiącym się głosem. — Musisz tutaj wpaść jak najszybciej, bo ja niedługo zwariuję. O ile już nie zwariowałam.

Filip był z zamiłowania archeologiem amatorem. Kochał grzebać w ziemi w poszukiwaniu skamielin, kości czy starych monet. Tak naprawdę to chyba nigdy nie udało mu się znaleźć niczego wartościowego, ot, czasem zniszczony guzik z niemieckiego munduru albo przeżarty rdzą kawałek żelastwa, który – jak twierdził – jest pozostałością jakiegoś medalu, odznaczenia lub fragmentem poszycia samolotu. Niestety, zwykle te fanty rozsypywały się w proch pod wpływem najmniejszego nawet wstrząsu, a ich zidentyfikowanie było więc niemożliwe.

Filip jednak uwielbiał snuć domysły i jeżeli wykopał coś, co uznał za godne uwagi,

potrafił godzinami chodzić po okolicy, od domu do domu, i wypytywać ludzi o wydarzenia, które rozgrywały się na tym terenie w przeszłości. Potem analizował zasłyszane historie i, czasem na siłę, łączył je z odkrytymi znaleziskami. Nie raz poszczuto go psem albo jakiś nerwowy chłop postraszył biedaka widłami. Mojego przyjaciela uważano za irytującego, choć nieszkodliwego czubka.

Czasami Filip znikał z domu na parę dni. Brał namiot, do plecaka pakował niezbędny sprzęt, czyli saperkę, lupę oraz zestaw pędzelków do oczyszczania trofeów z piasku, po czym wyruszał na ekspedycję. Kierując się, jak mówił, niezawodną intuicją badacza, wynajdywał odpowiednie miejsce i rozbijał obóz. Potem od rana do wieczora rył glebę niczym dzik w poszukiwaniu żołądźci.

W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków wracał z pustymi rękami, wygłodzony i brudny, ale szczęśliwy. Kaśka cierpliwie znosiła te dziwactwa, ale dzisiaj w jej głosie było coś takiego, że mimo późnej pory, natychmiast tam pojechałem.

Możecie mi wierzyć lub nie, ale na widok mojego przyjaciela doznałem szoku. Wyglądał po prostu strasznie. Skulony w fotelu, ospale lustrował pokój przekrwionymi oczyma, pod którymi wisiały ogromne, sine wory. Jego bladą twarz pokryła gęsta siatka głębokich bruzd, a włosy, niegdyś czarne jak pióra kruka, stały się zupełnie siwe. Postarzał się przynajmniej o dwadzieścia lat! Obok stała zapalona lampka nocna. Przekrzywiłem abażur tak, aby padało na Filipa jak najwięcej światła.

— On nie śpi od ponad tygodnia — chlpała Kaśka. — Siedzi tutaj i tylko tak dziwnie się gapi.

Stanąłem naprzeciwko faceta, który do tej pory był pełen życia i pomachałem mu. Zero reakcji. Podskoczyłem kilka razy, klasnąłem w dłonie tuż przed jego nosem, nawet uszczypałem go w ramię. Bez efektu. Błądził wzrokiem gdzieś w przestrzeni, jak ćpun na solidnym hajju.

W czasie, gdy próbowałem go jakoś ocucić, Kaśka poszła zgasić światło w przedpokoju. Kiedy tylko korytarz pogrążył się w półmroku, Filip powoli przekręcił głowę w tamtym kierunku. Nie wiem, jak to możliwe, ale zbłądził jeszcze bardziej, a oblicze wykrzywił mu grymas tak potwornego przerażenia, że sam się wzdrygnąłem. Z braku lepszych pomysłów, potrząsnąłem nim z całej siły. Nagle jakby się ocknął. Popatrzył na mnie i wydukał coś niezrozumiałego. Nachyliłem się nieco.

— Przyszedł... Znalazł mnie... Tylko czeka, żeby mi go zabrać... — bąkał. — Ale ja go nie oddam! — wrzasnął nagle, podrywając się na równe nogi. Po chwili znów opadł na fotel niczym szmaciana lalka. — Kryje się i czeka w cieniu, ale przechytryłem go... i nie oddam! W świetle nic nie może... nic!

Zauważyłem, że Filip ściska coś w dłoni. Chciałem mu to zabrać, ale nie pozwolił.

— Szlag! — warknąłem, gdy zatopił zęby w mojej ręce. Odskokczyłem jak oparzony. Natychmiast przybiegła Kaśka.

— Co się dzieje? — spytała z niepokojem, widząc, że usiłuję zatamować cieknącą z rany krew.

— Ugryzł mnie. Chciałem zobaczyć, co trzyma w dłoni, a wtedy Filip mnie zaatakował. Mówi, że ktoś po to przyszedł, ale mu tego nie odda.

Kaśka wbiła spojrzenie w podłogę.

— Wiesz coś na ten temat? — zapytałem podejrzliwie.

— W pierwszy dzień po powrocie z wyprawy pokazał mi jakiś pomalowany kamyk zawieszony na gnijącym rzemieniu. Twierdził, że to coś bardzo wartościowego. Ma jakieś tysiąc lat i jest najcenniejszym odkryciem, jakiego Filip w życiu dokonał. Wieczorem tuż po tym, jak położyliśmy się spać, zaczął majaczyć. Bredził coś o czymś na „b”. Bresekr, be-kresk, berkeser... Coś w tym rodzaju.

— Berserker? — zapytałem.

— Tak, chyba tak to brzmiało. Potem skulił się w fotelu w salonie, zapalił lampkę i zapadł w ten tajemniczy letarg. Z dnia na dzień wyglądał coraz gorzej, dlatego po ciebie zadzwoniłam. Jeśli nie jesteś w stanie pomóc, chyba będę musiała jechać z nim na pogotowie.

— Zaczekaj jeszcze moment. Pamiętasz, co było na tym kamieniu? Coś szczególnego utkwilo ci w pamięci?

— Tak, pamiętam dość dokładnie. — Wzięła długopis i na kartce papieru wyrysowała kilka symboli.

— Przecież to są runy! — wykrzyknąłem. — Germańskie symbole mocy, których wikingowie używali do zdobienia tarcz, broni i amuletów. Filip opowiadał mi o tych znakach nie raz, a i sam przeczytałem o nich kilka książek.

— A ten beresker?

— Berserker — poprawiłem. — Berserkerzy byli najwytrwalszymi wśród germańskich siepaczy. Umieeli wprowadzić się w trans, dzięki czemu na polu bitwy nie odczuwali strachu ani bólu. Widok szalejącego berserkera sprawiał, że wrogowie uciekali w panice, porzucając oręż. Najwyraźniej znaleziony przez Filipa talizman należał do jednego z tych straszliwych wojowników.

Kaśka zmierzyła mnie wzrokiem pełnym niedowierzania.

— Twierdzisz, że Filipa nawiedza duch zmarłego przed setkami lat wikinga?

— Na razie nic nie twierdę. Może coś sobie wmówił albo jakieś wydarzenie pobudziło jego podświadomość, może najzwyczajniej w świecie oszalał... Chyba nic tu po mnie. Bez pomocy lekarza raczej się nie obejdzie.

Dziewczyna spochmurniała jeszcze bardziej.

— W takim razie chyba będę musiała bezzwłocznie zawieźć go do szpitala.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

— Skoro w niczym więcej się już nie przydam, pojedę do domu. Zadzwoń do mnie, gdy coś uda się załatwić.

— Jasne — odparła. — Przepraszam, że cię fatygowałam. Powinna od razu spróbować zatargać Filipa do samochodu i zawieźć na badania.

— Nie ma sprawy. Od czegoś w końcu ma się przyjaciół. — Już miałem zbierać się

do wyjścia, kiedy nagle w całym mieszkaniu pogasły światła.

— Cholera — zakłęła Kaśka. — Na klatce wisiało ogłoszenie, że elektrownia ma przeprowadzać konserwację linii i mogą nastąpić przerwy w dostawie prądu. Zaraz poszukam świeczki albo latarki.

Stałem w przedpokoju i czekałem, a ona grzebała po omacku w jakiejś szafce. I wtedy to zobaczyłem. Przemknęło tuż obok mnie. Masywne, wielkie, humanoidalne. Nie jestem pewny, ale chyba miało na głowie rogi, a w dłoni ścisnęło coś na kształt topora. Było zupełnie czarne. Nie szare, nie ciemne, ale idealnie czarne. Jakby pochłaniało całe światło. Niczym czarna dziura na tle bezkresów kosmosu. Widziałem, jak wbiega do salonu, a potem powietrze rozdarł wrzask tak straszny, że włosy stanęły mi dęba, a plecy oblał lodowaty pot. Nagle coś łupnęło i na powrót zapaliły się lampy.

Wpadliśmy do pokoju, w którym krył się Filip. To, co tam ujrzeliśmy, będzie mi się śniło chyba do końca życia. Mój przyjaciel leżał martwy w kałuży krwi. Coś rozplątało mu głowę aż po samiutką szyję. Po ścianach ściekały fragmenty mózgu i kości. Ledwo powstrzymałem się, by nie zwymiotować.

Kaśka zemdląła, nie zdążywszy nawet krzyknąć. Ułożyłem ją na kanapie, a sam wezwałem policję i pogotowie. Nie będę się rozpisywał o tym, jak meczące były kolejne tygodnie, mijające na niekończących się przesłuchaniach i dochodzeniach. Oczywiście ani razu nie wspomniałem o cieniście duchu, którego zobaczyłem tamtego wieczoru. Nie chciałem, by uznano mnie za wariata. Jedno udało mi się jednak ustalić: amuletu z runicznymi symbolami nigdy nie odnaleziono, choć policja dokładnie przeszukała całe mieszkanie.



DO M.

Piotr Majdański

M. wracał z pracy zmęczony i wkurzony. Zastanawiał się nad swoim losem, porównując go do losu innych ludzi, którym się udało w życiu. Czuł się beznadziejnie po dniu roboty, w której miał dosyć szefa. Młody mężczyzna był odpowiedzialny za utrzymanie czystości w fast foodzie. Nie była to praca marzeń, ale przynajmniej stała, chociaż można zniechęcić „cywilizowanych” ludzi za to, co pozostawiają po sobie w WC. Przełożony M. wyżywał się na swoich pracownikach, a zwłaszcza na nim. Za kilka spóźnień i – jak się dowiedział pracownik – brak jakiegoś zaangażowania i minimalnej odpowiedzialności.

M. siedł chodnikiem przy niewielkim, wieczornym ruchu. Mieszkanie było oddalone tylko o kilkanaście minut piechotą od miejsca pracy. Na szczęście o tej porze na ulicy było niewielu przechodniów. Miał dosyć wszystkiego wokół. Chciał się tylko zaszyć, napić piwa i pójść spać. Nawet aura dobijała go – ciągle pochmurno i deszczowo.

M. wchodząc do mieszkania na czwartym piętrze, dyszał. Kawalerka należała do jego ciotki, która obecnie pracowała za granicą. On miał się nim zajmować, za co płacił tylko podstawowe rachunki. Ona cieszyła się na myśl, że będzie podlewał jej ukochane kwiatki. Lecz M. miał je w poważaniu. Wszystkie oprócz sukulentów pousychały. W pokoju panował bałagan, nie mówiąc już o kuchni. Wiedział, że na razie jego dziewczyna nie

przyjdzie, więc nawet nie myślał sprzątać. W powietrzu można było wyczuć lekki smród. Nie chciało mu się szukać przyczyny. Skierował się prosto do lodówki po orzeźwiające piwo.

Siedział na łóżku zły na świat, a w każdym łyku chmielnego nektaru szukał ukojenia. Nie lubił tego mieszkania, czuł się w nim nieswojo. Zawsze starał się kroczyć ścieżką realisty. Nie wierzył w przesady i nie był jakoś religijny, ale jego lokum było podejrzanie nieprzyjemne. Przytłaczało ilością mebli i rzeczy: przy jednej ścianie wersalka, a nad nią obrazy przedstawiające Jezusa na krzyżu, Jezusa podczas wieczerzy, Jezusa w Ogrodzie Oliwnym. Po drugiej stronie była meblościanka ze starym, ale działającym telewizorem. Na niej i w niej leżało wiele rzeczy, w większości niepotrzebnych. Ciotka miała filozofię, że jeszcze się przydadzą. Masa wystawek, nawet opakowanie po czekoladkach, które – z powodu ładnych kwiatków – ozdabiało pokój. Przy oknie stał stolik i krzesła. Po drugiej stronie, przy wejściu, była szafa i mała komódka z szufladami. Na szczęście ciotka pozabierała trochę rzeczy ze sobą, to M. miał gdzie poukładać swoje. W pokoju było jeszcze kilka stojaków z kwiatkami, a na podłodze dywanik na dywanie.

Myśli o lokum ciotki rozsierdziły mężczyznę. Najchętniej to by większość tych śmieci powyrzucił. Po skończeniu piwa rozebrał się i poszedł spać. Niespokojny wiercił się na starej, wygniecionej wersalce. Starał się zasnąć. Problemy same przychodziły mu do głowy, nierozwiązane piętrzyły się. Koniec końców udało mu się zasnąć. Śniło mu się, że ucieka przed czymś nieznanym i bardzo złym. To coś chciało go dopaść. Nagle sceneria zmieniała się. Teraz płynnie przechodziła w jego dom rodzinny, pobliski las i ulicę. M. szukał pomocy u napotkanych ludzi, ale okazywało się, że i oni współpracują z nieznaną mu siłą, która próbowała go dopaść. Uciekał dalej. Strach był bardzo realny, uczucie przerażenia ścisnęło mu trzewia aż do bólu. W końcu w jakiś sposób dostał się do swojego mieszkania i dysząc, zatrzasnął drzwi. Rozglądał się po pomieszczeniu, w którym wszystko było po staremu oprócz gołych ścian. Zaczął się uspokajać. Cisza i znajome miejsce dawały poczucie bezpieczeństwa. Iluzoryczne. Nagle we drzwi wejściowe zaczęło coś walić z ogromną siłą. Trzęsły się całe od siły uderzeń. Pobiegł w głąb pokoju. Atmosfera w środku mieszkania gęstniała, robiło się duszno. M. skulił się na podłodze, zakrywając uszy i twarz, jęczał. Dusił się. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to próba powiedzenia modlitwy:

— Zdrowaś...Ma...rrrrio...łaskiś pełna... P. z Tobą, bło...błogostawionaś Ty między... — cedził słowa z ogromnym wysiłkiem. Zła siła nie pozwalała M. mówić. Odbierała mu siły życiowe, niszczyła.

Obudził się na dźwięk swojego zduszonego głosu:

– Owwo...żywota...Twojego... J... — wypowiedzenie imienia było ciężkie. — Święt...M(ughh)...Mattko...Bosska...

M. miał całe ciało sparaliżowane i nie mógł dobrze zaczerpnąć powietrza. Czuł, że TO stara się go zabić. Słowami modlitwy próbował się bronić. Nagle wszystko ustało. Oprzytomniał szybko i zapalił przyłóżkową lampkę. Światło

rozbłysło, wywołując ostry ból w oczach, ale dawało wybawienie. M. był cały spocony. Mimo, że w pokoju nic się nie zmieniło, a jasność i świadomość dawały poczucie realności, drżał ze strachu. Siedział i przyglądał się świętym obrazom. Na swój sposób, po tym przebytym śnie, były straszne.

Czuwał tak może z godzinę przy zapalanej lampce. Bał się zasnąć. Czuł, że wtedy koszmar wróci. Potem jednak zmęczenie wygrało.

Dzień przyniósł ulgę. W świetle słonecznym koszmary i fantomy nocy zawsze wydają się śmieszne i niemożliwe. M. leżał jeszcze przez chwilę, wspominając sen. Wzdrygnął się. Bolała go głowa i czuł się okropnie. Przypomniał sobie, że ma spotkanie z K., swoją dziewczyną. Zestresowany zaczął grzebać w telefonie komórkowym w poszukiwaniu SMS-a od niej z godziną i miejscem spotkania. Znalazł: „Hej, spotkajmy się jutro w czasie mojej przerwy w pracy. Koło trzynastej przy fontannie. Muszę z tobą porozmawiać.”

Miał jeszcze trochę czasu. Martwił go oschły i rzeczowy ton w wiadomości. Ostatnio K. się częściej na niego obrażała. Ciągłe znajdowała jakieś przeszkody: to źle, tamto źle. Westchnął i zabrał się za przygotowania do spotkania. Zjadł proste kanapki i wziął prysznic. Z zapchanej w większości ciotuniowymi ubraniami szafy wyciągnął jakąś czystą koszulę. Stres i lekki pośpiech sprawiły, że zapomniał o swoich nocnych zmorach. Kiedy był w pełni gotowy, ruszył na spotkanie. Instynkt mu mówił, że nie będzie to miła rozmowa.

Gdy dotarł, K. czekała już na niego, siedząc na niebieskiej ławce. Ubrana była formalnie: ciemne, niepołyskujące spodnie i biała koszula z rozpiętym kołnierzykiem. Na wierzchu miała elegancki, ciemnogrnatowy żakiet. Pracowała w biurze korporacji. Miała dużo pracy, starała się o awans. Angielska nazwa stanowiska nic M. nie mówiła, a on nawet nie za bardzo rozumiał, jak K. mu opowiadała, czym się zajmuje.

Jej ładne rysy twarzy wyostrzał teraz zimny spokój. Mężczyzna poczuł skurcz żołądka. Na powitanie chciał pocałować K. w policzek, lecz ona odsunęła się lekko. Usiadł obok i wpatrywali się w siebie w milczeniu. Bał się zburzyć pozorny spokój przed kłótnią i czekał na jej ruch. Kobieta zbierała myśli. W końcu rzekła:

— Lubię cię, ale bycie z tobą jest męczące. — M. westchnął. — Nie dbasz o siebie. Nie myślisz o przyszłości ani swojej, ani naszej. Ja tak dłużej nie mogę. Zbiera się we mnie frustracja, a ty nie starasz się rozwiązać problemów, o których mówiłam ci wielokrotnie. Czy ty mnie nie słuchasz, do cholery? Co jest z tobą?!

— Nic. — M. znalazł w głowie tylko tyle.

— Nie chcę tak dłużej, rozumiesz?! — powiedziała K., rozsierdzona lakonicznością jego wypowiedzi.

W złości zaczęła mu wypominać jego błędy, kłamstwka i niepowodzenia. To, czym ją uraził, kiedy się zachował jak ostatni cham etc. K. mówiła i wyrzucała z siebie wszystko,

co ją bolało. Gniew naznaczył się na jej ładnej buzi czerwonymi wypiekami i gromami ciskanymi z oczu.

Przechodzący ludzie, biurowiec w tle, fontanna i plac wkoło dla M. zrobiły się szare. Powietrze zgęstniało. Świat jakby zaczął się kurczyć i napierać na niego. Słowa K. nie były już słowami, tylko uderzeniami w jego głowie. Po każdym z nich echo rozchodziło się boleśnie. Jej zdania, niczym uderzenia mentalnego młotka, tworzyły crescendo, które wywoływało w nim złość. Pierwotny gniew jak u dzikiej bestii.

UCISZ JĄ! UCISZ JĄ! UCISZ JĄ! UCISZ JĄ! UCISZ JĄ! UCISZ JĄ! UCISZ JĄ!

W jego głowie pojawiło się pragnienie rzucenia się na nią, złapania jej za szyję i zaciśnięcia z całej siły rąk. W wyobraźni widział jak K. stara się bronić, ale jest od niego słabsza – każdy wysiłek osłabiał ją. W swoich myślach M. czuł, jak rozgniata jej gardło. To go tylko pobudziło do zwiększenia ucisku. Gaszenie jej życia dawało satysfakcję. Zemsta! Kiedy jej twarz była sina i nieruchoma, a pomiędzy szarych warg wystawał język, tłuk jej głową o chodnik. Na bruku pojawiła się krwawa plama. Czuł triumf. Walił uległą głową, aż poczuł pęknięcie kości czaszki. Wstał i patrzył na K. – martwą i nieruchomą. Strużka krwi rozciągała się ekscentrycznie szparami w bruku. Upajał się widokiem – odwetem za tyle gorzkich słów.

— Hej, czy ty mnie, do diabła, słuchasz? — Szturchnęła go mocno.

Czuł, jakby ktoś oblał go wiadrzem zimnej wody. Szarość zniknęła. Patrzył na nią zbaraniałym wzrokiem, starając się pojąć, skąd wzięły się myśli i wizja, która pojawiła się w jego głowie. Przestraszył się, bowiem nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało. Był na granicy zabicia z zimną krwią, zabicia swojej K. Skonfundowany nie wiedział, co zrobić. Bał się.

— Mam dosyć! Definitywny koniec z nami! — wykrzyczała K., zwracając tym samym uwagę przechodzących obok ludzi. Podniosła się i zaczęła poprawiać swój strój.

— Bywaj i nie dzwoń do mnie. Muszę wracać do pracy — powiedziała spokojniejszym tonem.

Zemścij się! Odpluć jej! Suka! Zemścij się! Zemścij się! Zemścij się! — podpowiadał mu jakiś głos.

Patrząc, jak K. odchodzi, M. czuł znów przyływ gniewu i gęstniejącą atmosferę. Resztkami dobrej woli opanował się. Zdziwiony przyglądał się otoczeniu. Nie wiedział, co się z nim działo. Nie mając pojęcia, co począć, skierował się w stronę swojej pracy. Znów druga zmiana.

*

M. był zszokowany wydarzeniami dnia dzisiejszego. Straszne sny, rozstanie z dziewczyną, wybuch gniewu i krwiożercze wizje. Bał się. Dziś tym bardziej nie mógł skupić się na pracy. Stał oparty się o trzonek mopa i rozmyślał.

— Rusz dupę! — krzyknął nagle kierownik zmiany, mężczyzna koło trzydziestki.

— Masz szczęście, że bosa jeszcze nie ma. Nie gap się tak!

Kutas – pomyślał M. Lizodup. Chętnie walnąłbym w twój pulchny ryj. Czuł rozdrażnienie zwróconą mu uwagę. Myśli, że jak jest szefem zmiany, to zaszedł daleko w swej zawodowej karierze, w tej śmierdzącej budzie z gównianym, obleśnym jedzeniem.

Obaj usłyszeli jak właściciel przechodzi przez zaplecze w ich kierunku.

— Gdzie jest ta leniwa pokraka? Zaraz nauczę tego szczeniaka i nieudacznika pracować! — darł się lekko łysiejący, ubrany w tani garnitur szef całego fast foodu. — Aa, tu jesteś! — Wskazał palcem na M. Profilaktycznie, widząc rozłoszczonego przełożonego, kierownik zmiany, pospiesznie oddał się swoim obowiązkom.

Uderz go! Nie daj sobą pomiatać! On jest nikim! Uderz go! Masz siłę! Bij go!

M. czuł, że niewidzialna metalowa obręcz zaciska się mu wokół głowy. Gniew wracał. Jego szef pouczał go, że ma co pół godziny zaglądać do toalety i podpisywać raport kontroli czystości, że jak mu się nie podoba praca, to won na ulicę. Taki nierób, baran oraz gnój i tak nie znajdzie lepszej pracy. M. skoczył na przełożonego. Ze zwierzęcą furią złapał go za poły garnituru i pchnął, wkładając w to więcej siły, niż na co dzień umiał wyzwolić ze swoich mięśni. Szef poleciał do tyłu, próbując kurczowo złapać się czegokolwiek, a zrzucając jedynie przedmioty leżące na szafkach. Patrzył z trwogą, jak rozwścieczony chłopak zbliża się z wyrazem twarzy zdradzającym szaleńcze zamiary. M. stanął nad swoją ofiarą, powstrzymując się od kopania. Splunął gęstą flegmą i patrząc obłąkanymi oczami, powiedział ochryplym głosem:

— I tak zgnijesz w piekle. Wsadź tę swoją robotę w dupę.

M. odwrócił się i wyszedł z knajpy. Skierował się do głównej ulicy i poszedł w stronę mieszkania.

*

Dotarwszy do mieszkania, M. zdążył uspokoić już zszargane nerwy. Przerazały go te wybuchy niekontrolowanej złości. Zachowanie, które wcześniej się nie pojawiało, nawet w trudnych sytuacjach. Miał chaos w głowie. Rozstanie z K., kłótnia z szefem i utrata pracy. To było jak na jeden dzień stanowczo za wiele. I jeszcze te nieswoje myśli...

Mieszkanie zastał w takim samym nieładzie, jak ten, który był tu wcześniej. Zamierzał posprzątać, tylko jutro. Dziwny zapach, lekko słodkawy odór wciąż unosił się w powietrzu. Może coś zdechło w wentylacji? – pomyślał. Odruchowo zajrzał do kuchni i otworzył lodówkę.

Na całą zawartość składało się tylko pasztet i ketchup. W zasadzie nie był też głodny, chociaż jadł dawno. Czuł zmęczenie. Rzucił się na łóżko, nawet się nie rozbierając. Leżał chwileczkę w niepełnej ciemności, rozjaśnianej przez niewielką poświatę latarni. Patrzył w sufit. Natłok wspomnień sprawiał, że czuł jakby wirował wraz z łóżkiem albo stał w kręcącym się miejscu. W końcu M. zasnął snem wyczerpanego. *SZSZSZSZSZSZSZ!*

Jego organizm czuł ulgę po tym odpoczynku. Był jeszcze zmęczony, a wczorajsze wydarzenia sprawiały wrażenie nierealnych, jak gdyby nie zaistniały. Wiedział, że to tylko wrażenie. Kiedy wspomniiał swoje wizje, dzikie żądze mordy, wzdrygnął się. Dla lepszego samopoczucia zapalił światło. Poczuł się bezpieczniej.

W kuchni, robiąc sobie kanapki z pasztetem, rozmyślał, co począć jutro. Wiedział, że w byłej pracy jest skończony. Może trzeba to wziąć za dobrą monetę, bo a nóż złapie coś lepszego? Najgorzej było z jego relacją z K. Nie wiedział, czy da się to naprawić. Czuł do niej żal i coś jeszcze... Wściekłość?

Jadł zamyślony. Głód przyprawił tani pasztet tak, że smakował wybornie. Po skorzystaniu z łazienki, wrócił do łóżka i zgasił światło. Mimo natłoku myśli, szybko uciekająca świadomość zanurzyła go w otchłań snu.

M. znajdował się w swoim pokoju. Nie było w nim żadnych obrazów ani krzyży. Intuicyjnie odbierał całym ciałem wrażenie rosnącego napięcia. Czuł, że zaraz coś się zdarzy. Coś bardzo złego. Niepokojnie rozglądał się wokoło, oczekując wroga. Chciał się poruszyć, ale ciało ważyło jakby więcej. Strach paraliżował. Wtem zadzwoniła jego komórka. Kiedy odebrał i przyłożył do ucha, usłyszał śmiech. Odrzucił w kąt telefon, który po zderzeniu ze ścianą rozpadł się na kawałki. Mimo tego M. wciąż słyszał w głowie coraz głośniejszy śmiech – obcy i przerażający, niszczący umysł. Trzymając się obiema rękami za uszy, starał się jakoś go zagłuszyć. Nagle ucichło. Jednocześnie zrobiło się okropnie zimno. Przerażony mężczyzna wstał na chwiejnych nogach. W pomieszczeniu pociemniało i zaczęło śmierdzieć zgniłym ciałem oraz ludzkimi ekskrementami.

Jesteś już tylko mój. Ha ha ha ha!

Usłyszał znajomy głos. Za plecami M. wyrosła potężna postać. Humanoidalne monstrum na grubych nogach zwieńczonych kopytami, o potężnym ciele oraz wielkich rękach zakończonych szponami. Głowa przypominała głowę byka. Z nozdrzy wydobywała się para. Para oczu bestii patrzyła na M. Na górze czaszki znajdowały się rogi jak u barana. Stwór wydawał z siebie złowrogie pomruki; spokojnie czekał na reakcje ofiary, rozkoszując się jego strachem. M. nie był w stanie nic zrobić. W tym piekielnym koszmarze był tylko obserwatorem, choć dokładnie wiedział, co odczuwa bohater. Wypełniało go przerażenie. Czuł smród i obecność TEGO. Bestia, nasyciwszy się strachem, złapała swa ofiarę i zaczęła szponami rozdzierać ciało chłopaka. A on odczuwał potworne bóle, jakby wcale nie śnił. Potwór pożerał go żywcem. Myślał o śmierci jako wybawieniu od tego cierpienia, jednak ona nie nadchodziła. Ból sprawiał, że M. był na granicy przytomności. Zaczął krzyczeć.

Zbudził go własny głos. Przez okno przedostawało się już słońce. M. był przerażony koszmarem. W ciele jeszcze ćmił ból. Pościel była mokra od potu i od moczu. Ze strachu się zlałem – myślał dalej, szukając bezpieczeństwa w początku dnia. Ale bał się nadal.

Nie ma odwrotu. Wiesz, co masz zrobić. Jesteś mój.

W głowie mu tętniło. Wstał, szukał jakiejś odrobiny normalności. A może to jeszcze sen?

Uciekając, biegasz w koło. W środku jest śmierć.

Miał wrażenie, że niemal słyszy te słowa, choć wokół niego panowała dziwna cisza. W głowie M. głos pojawiał się sam. Był natrętny, bolesny. Chłopak słyszał go już wcześniej. Wczoraj. Zachęcał go do mordy.

Jesteś nikim. Próbując stawić opór woli mojej, ośmieszasz się, człeczka małpo. Wiesz, co masz zrobić! Zrób to! Jesteś nikim, nikim, nikim!

Echo słów raniło M. i jego duszę, było nie do zniesienia. Postanowił uciec z mieszkania. To, że miał na sobie brudną bieliznę, nie było nieistotne. Chciał się stąd jak najszybciej wydostać. Pobiegł do drzwi wejściowych, otworzył je i zatrzymał się przed progiem. Widział klatkę schodową i drzwi do mieszkań sąsiadów, lecz nie mógł przekroczyć progów. Czuł, że jak przekroczy próg, to zginie. Obca mentalna wola nie pozwalała mu na ucieczkę. W panice wrócił do mieszkania. Wbiegł do kuchni i z górnej szuflady wyciągnął nóż o czarnej ręczce. Dawało to złudną nadzieję na obronę. W pokoju rozległ się łomot. M. z bijącym sercem, ciągle dysząc, wszedł ostrożnie do pokoju, trzymając kurczowo wyciągniętą przed siebie rękę.

Ha ha ha ha!

Zobaczył, że ze ścian pospadały obrazy święte. Sparaliżowany przerażeniem, obserwował pokój. Nie wiedział, z kim lub z czym walczy. A może zwariował do reszty? W tej chwili nie zastanawiał się nad tym, liczyło się tylko przetrwanie.

Wiesz, co masz zrobić.

W pokoju powietrze sprawiało wrażenie ciężkiego, podobnego do tego z koszmaru. Atmosfera odbierała mu siły fizyczne i psychiczne. Ze ścian zaczęły dobiegać szepty, tworząc kakofonię nie do zniesienia. Nie rozumiał ich, lecz instynktownie odbierał, że mówiły o nim. M. miał dość. Upuścił nóż, zrezygnowany osunął się po jasnej ścianie, znacząc ją swoim spoconym ciałem. Szepty wokół narastały. Rozrywały jego mózg niemal na strzępy. Zatkane uszy nie pomagały.

Wiesz, co masz zrobić. Zrób to natychmiast!

Pragnąc ulgi od tego szaleństwa, zaczął uderzać głową w ścianę. Na początku mocno. Bolało, ale go to oszałamiało. Bił z determinacją. Na ścianie pojawiła się plama krwi, powiększająca się z każdym uderzeniem. Teraz walił bokiem głowy – tak długo, aż wszystkie te koszmarne imaginacje odeszły. M. jednak nie przestawał. Żadne bodźce z zewnątrz nie docierały do niego, nawet rozbita głowa i ból. Był niczym w stanie katonicznym. Głuche odgłosy uderzeń rozchodziły się po mieszkaniu. Uderzenia były coraz powolniejsze, aż z M. uciekła świadomość.

Mężczyzna ocknął się. Zza okna powitało go światło latarni. Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Głowę rozrywał grom bólu. Ręką wymacał wielkiego strupa i guza. Strącone obrazy przypominały o tym, co zaszło. Był wypruty z emocji. Na niczym mu już nie zależało, patrzył pustym wzrokiem przed siebie.

Zrób to.

M. wziął nóż i naciął żyłę. Z rany zaczęła sączyć się krew. A on był jak zahipnotyzowany, niczym bezwolny golem pod wpływem wewnętrznego impulsu – rozkazu z zakamarków swego umysłu. Nie myślał, co pisał. Po prostu maczał palec we własnej krwi i pisał na ścianie. Ręka pracowała automatycznie.

Wiedział, co ma zrobić. Nie zależało mu już. Poszedł do starej szafy ciotki i wyciągnął swoje przeznaczenie. Nie czuł żalu. Nie czuł strachu. Nic.

Poszedł pod drzwi. Przeciągnął pasek przez klamerkę, robiąc samozaciskową pętlę. Drugi koniec przywiązał do klamki beznamiętnie chłodnymi i zdecydowanymi, jak rzadko w życiu, ruchami. Uklęknął tyłem do drzwi i założył przeznaczenie na szyję. Nie potrzebował żegnać się ze światem, miał go dość. Powolnym ruchem obniżał ciało. Pętla zaciskała się. Organizm M. odruchowo próbował zaczerpnąć powietrza otwartymi jak u ryby ustami, ale osuwał się dalej. Zacisk się zwiększał. W oczach ciemniało, półprzymknięte patrzyły w dal. Słyszał szepty, triumfalny śmiech. A może to złudzenia? Świadomość gasła. Gdzie jest ten tunel? Atawistyczny odruch przetrwania kazał rozluźnić pętlę, lecz dłonie były za słabe. Mózg M. wysyłał rozpaczliwe żądania o tlen. Serce, chcąc spełnić prośbę, biło jak oszalałe, próbując pompować życiodajny płyn, ale płuca daremnie wciągały powietrze. Ból w klatce piersiowej palił niczym ogień. M. słabł. Umierał. Nikt nie był w stanie mu pomóc. Kiedy stracił przytomność, zwisał bezwładnie na pasku. Agonia.

Przez okno wpadało nikłe światło latarni, oświetlając nieruchome ciało M.

*

Od dłuższego czasu śmierdziało na klatce na piętrze. Sąsiedzi zaalarmowani odorem, wezwali dozorcę budynku. Ten, klnąc na wszystko i wszystkich, wszedł po schodach. Wyczyn niełatwy przy jego tuszy. T. ubrany był w ogromny, niebieski kombinezon roboczy i mokry od potu t-shirt.

Puk, puk, puk... Mężczyzna stał pod drzwiami i pukał w drzwi. Chociaż domyślał się, że to na niewiele się zda, odruchowo zawołał:

— Jest tam kto?

Zakrywając usta i nos chusteczką, wszedł do mieszkania otwierając zapasowym kluczem zamek. Odchylił ostrożnie drzwi, jak gdyby zbierał odwagę na więcej.

Od razu zobaczył denata. Młody facet, przed trzydziestką, świeć mu, Panie, nad jego duszą – pomyślał T., wykręcając numer alarmowy. Samobójca znajdował się naprzeciw drzwi. Ciało w samej bieliźnie zwisało na pasku. Boże, jak tu śmierdzi, jaki syf! Dozorca, stojąc w progu, z obrzydzeniem rozglądał się po mieszkaniu. Kończyny martwego były obrzmiałe, bordowo-czarne od krwi, która pod wpływem grawitacji uciekła do najniższej położonych części ciała. Wzdęty brzuch z zielonkawym podbrzuszem rysował się wyraźnie. Na bladej skórze widać było zielono-niebieską pajęczynę skrytych tuż pod

powierzchnią żył. Z nosa i po udzie denata ciekła mętna ocieklina. T. wszedł dalej. Jego wzrok przykuł czerwony napis, wyglądający jak krew:

YNPETSAN ZSEIZDEB

Słyszac nadchodzących policjantów, T. nie zastanawiał się dłużej nad sensem i najszybciej jak umiał, opuścił mieszkanie.



GŁÓD

Olga Kaczmarek

Dziwne czasy nastały w Tłuszczu. Ludzie czuli, że dzieje się coś niedobrego. Zazwyczaj podczas wakacji dzieci urządzały swoje zabawy na podwórku – teraz było pusto, matki przestały wychodzić ze swoimi pociechami, słońce zachodziło po przeciwnej stronie, słoneczniki nie chyliły już swych kwiatów ku, przerażająco parzącym teraz, promieniom.

Sebastian był pulpetowatym chłopcem, którego zakaz wychodzenia za dnia zabolął chyba najbardziej. Zazwyczaj ruchliwy malec, którego matka za nic nie mogła nakłonić do pójścia spać, gdy nadchodziła właściwa pora, teraz siedział z nosem w szybie, badawczo przyglądając się temu, co się dzieje dookoła. Jak to możliwe, że życie ucichło tak nagle? Hmm... słońce chyba wschodziło zza tamtego bloku – pomyślał. Fakt ten nie dawał mu zasnąć spokojnie, a niemożność wyjścia na dwór powodowała trwogę i sprawiała, że tłuszcz na brzuchu małego grubasa topniał jak lodowiec. Depresja pogłębiała się z dnia na dzień. Dlaczego nie mogę mieć tego, co lubię najbardziej? Do tej pory wychodziłem bawić się z innymi i wszystko było dobrze – ta myśl powracała nieustannie.

Ciemno... spirala... coraz głębiej... sen...

– Kim ty jesteś? – Sebastian zobaczył starszą babcie w najciemniejszym rogu swojego pokoju. Stała skulona, dziwnie powykrzywiana. Pomarszczone ręce z długimi pazurami trzymały potężną laskę, która była dla niej jedynym oparciem.

– Nocami jest w miarę bezpiecznie. Musisz tylko uważać, żeby nie natknąć się na żadnego mukatę. Oni zabijają każdego, kto ich spotka. Nie chcą bowiem, by ktoś domyślił się, gdzie leży przyczyna niepokojów w Tłuszczu.

Widząc, że postać nie odpowiedziała na jego poprzednie pytanie, brnął dalej:

– A co, jak jakiegoś spotkam?

– Nie będę przebierała w słowach – już po tobie. Oni nie patrzą, kogo zabijają. Zresztą, jak wyjdiesz nocą, sam zauważysz dużo korowodów pogrzebowych. Trumny słaniają się niekiedy samotnie w rowach. Księża, którzy towarzyszą tym wydarzeniom, mają z mukatami jakieś układy, więc nie ruszają tych trumien. Ale zwykły szarak to tylko szarak. Cóż...

– Dlaczego zabijają z taką nienawiścią?

– Nie chcą, by odkryto ich tajemnicę. Mukaci chcą, by ludzie żyli w taki sposób, jak teraz. Zamknięci, przestraszeni. Celowo zastraszają i zabijają, żeby stłamsić wszystkie próby poznania prawdy. Nie chcą, by ktokolwiek odkrył ich plan.

– A jaki jest ich plan?

– Dziecko.... Jeżeli bym wiedziała, to dawno bym ci już o nim powiedziała. Jesteś osobą, której chyba najbardziej zależy na powrocie do dawnego stanu rzeczy. Widzę, że tęsknisz za starym życiem, chyba najmocniej ze wszystkich. Będziesz miał więc wystarczająco dużo determinacji, by samemu odkryć prawdę i zapanować nad tym chaosem. Mam nadzieję, że ci się uda. Zostawiam ci konia, który jest niezwykle zwinny i może pomóc ci stać się niewidzialnym. Ale uwaga... tylko jeden raz, więc uważaj, w jakiej sytuacji go o to poprosisz. Więcej możliwości nie będzie. A, i daj mu jeść. Najbardziej lubi trawę. Powodzenia!

Oszołomiony Sebastian został sam na sam z koniem. Duże zwierzę prychnęło i machnęło grzywą. Trawa... Skąd ja mam niby wziąć trawę, skoro te toksyczne promienie wypaliły całą trawę w okolicy? – pomyślał chłopiec. Lodówka też była pusta. Koń chyba czuł, że znalazł się w niezbyt szczęśliwym położeniu.

Chudy chłopiec wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Zresztą, rodzice nie mogli zobaczyć konia. Matka, już i tak z nadszarpniętym zdrowiem, na pewno popadłaby w chorobę psychiczną, a jej firma ogłosiłaby wtedy bankructwo. Widmo windykacji stałoby się wówczas realnym zagrożeniem. Nie mógł na to narażać swoich rodziców, tym bardziej, że komornik już przejął kuchnię – najbogatszą część budynku. Dlatego też w domu nie było jedzenia i nie unosił się już zapach pysznych potraw, jak to było w zwyczaju wcześniej. Postanowił więc, że napisze tylko krótką informację dla rodziny i wyruszy.

Jak pomyślał, tak też uczynił. Wziął bicz z piwnicy, który należał prawdopodobnie do ojca – pomyślał, że może się przydać – następnie wsiadł ostrożnie na konia. Koń chyba

nie był zadowolony z przedmiotu trzymanego w ręce chłopca, bo wierzgnął tylnymi nogami.

– W porządku, spokojnie, odłożę go na miejsce. Wcale nie chciałem go zabierać – powiedział speszony.

Wyruszyli.

Sebastian, nie wiedział, gdzie ma jechać, podążał więc przed siebie. Na ulicach było pusto, gdzieś tam tylko widać było jakiś przemykający cień. Prawdopodobnie był to człowiek, który miał już po dziurki w nosie tego, że nie może normalnie żyć. Obawa przed mukatami powodowała, że wszyscy zachowywali się nieufnie wobec siebie. Sytuacja poraziła Sebastiana. Tak bardzo w tym momencie odczuł brak normalnego życia. Chciał przytulać ludzi, mówić im, że wszystko będzie dobrze, że ich niesprawiedliwa pokuta niedługo się skończy, bo on właśnie rusza na ratunek. Lecz nie mógł – wszyscy, których cienie widać było w zaułkach, widzieli w innych potencjalnych mukatów. Sebastian chciał krzyczeć z rozpacz. Miał już tego dość. Weź się w garść, durniu! – pomyślał karcąco chudzielec. Musisz znaleźć przyczynę tego bagna.

– Witaj, czego tu szukasz o tej porze? Trochę tu niebezpiecznie, nie sądzisz? – Sebastian zamarł, dreszcze przeszły go po całym ciele. Bał się odwrócić, jednak powoli zwrócił głowę w kierunku, z którego dochodził głos.

Chłopak zobaczył młodego mężczyznę o dziwnym grymasie na ustach. Nieznajomy ubrany był raczej normalnie. Trzymał w dłoni małe czerwone pudełko.

– Kim jesteś? – zapytał Sebastian.

– Spokojnie, nic ci nie zrobię. Na imię mi Ygor. Podróżuję sam po tych zgliszczach i szukam sposobu, za pomocą którego mógłbym przekazać ludziom zawartość mojego pudełka. Słyszałem, że mukaci mają ogromną władzę i mogą manipulować ludźmi. W swojej siedzibie posiadają podobno bardzo potężne urządzenie, które emituje specjalne fale zniekształcające obraz. Dzięki temu ludzie widzą coś, czego w rzeczywistości nie ma. Fale te mogą również wpływać na sposób ich myślenia.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że tej paniki nie powinno być? Nie ma żadnego promieniowania i słońce wschodzi i zachodzi po właściwych stronach? – Sebastianowi serce zaczęło bić jak oszalałe. Nie mógł w to wszystko uwierzyć!

– Dokładnie tak. Mukaci mają ogromną władzę. Mogą wykreować ci, co tylko będą chcieli. Dlatego też chcę się do nich zakraść.

– Nie możemy po prostu powiedzieć ludziom, że wszystko jest w porządku, że mogą normalnie funkcjonować? Tak, jak do tej pory?

– To nie przejdzie. Ludzie wierzą temu, co namacalne. Ich umysły nie wykraczają poza ustalone granice. Ufają swoim oczom, więc twój pomysł się nie sprawdzi. Jeżeli chcesz, żeby ludzie znów widzieli to, co wcześniej i żeby zaczęli funkcjonować normalnie, musisz zakraść się do bazy mukatów i sam wszystko odkręcić. Ja też tam idę... – Ygor spojrzał na swoje pudełko.

– Co masz w tym pudełku?

– Tolerancję. Tak bardzo brakuje jej ludziom. Każda odmienność według większości jest zła. Tak bardzo bym chciał, żeby ludzie nie widzieli we mnie tylko homoseksualisty, ale też człowieka, obok którego mogą normalnie egzystować. Dlatego muszę dostać się do mukatów i przetransferować ludziom Tolerancję. To przykre, bo sami nie są w stanie jej wykrzesać. A ja po prostu chciałbym normalnie żyć. Czy to tak wiele?

– Rozumiem cię... Chodźmy więc tam razem. W trójkę mamy większe szanse. Koń parsknął z zadowolenia, że nie zapomniano i o nim. Zwierzę silnie odczuwało brak jedzenia. Dobrze wiedzieli, że trawa rośnie sobie soczystymi kępami, zieleniejąc radośnie, ale nie widzieli jej. Mukaci wszystko zakamufłowali przed ich oczami – widzieli tylko parujące zgliszcza.

– Wiesz, jak tam się dostać? – spytał chłopiec.

– Sądzę, że tak. Plotki mówią, że mukaci zajęli stary hotel w centrum miasta. Tam mają dla siebie idealne warunki. Swoje centrum dowodzenia zorganizowali podobno w Sali Bankietowej. Tam, gdzie wcześniej odbywały się wystawne przyjęcia, ludzie pijani od miłości tańczyli wtuleni w siebie, muzyka wypełniała wnętrze i tętniło życie. Teraz sala ta jest tylko technicznym miejscem, gdzie mukaci knują, jakim jeszcze sposobem można zmanipulować ludzi. Mrok...

– Dobrze, podążajmy tam czym prędzej. Mam już dość tej farsy.

Sebastian i Ygor ruszyli w kierunku hotelu. Po drodze mijali kiosk przy Sobieskiego, gdzie obaj zwykli kupować czasopisma i sok pomarańczowy. Zaciekawilo ich to, co dzieje się na tyłach niewielkiego budynku.

Zgrzyyyt...zgrzyyyt...zgrzyyyt...

Zajrzeli tam zaciekawieni. To, co zauważyli, zmroziło w nich krew. Młoda dziewczyna wisiała na gałęzi drzewa, które rosło tuż za kioskiem. Wiatr chemikaliów poruszał jej ciałem. To lina wydawała z siebie ten przerażający odgłos. Posmutnieli obaj.

– To, co się dzieje, było dla niej zbyt dużym ciężarem. Samobójstwo stało się jedyną drogą do wolności. Brakowało jej siły... To smutne, bo daje mocno do zrozumienia, że dla słabych nie ma tu miejsca – powiedział Ygor.

Patrzyli przez chwilę na to, co się stało.

– Chodźmy. Mamy swoją misję. Nie czas na słabość – rzekł po chwili Sebastian. Hotel ukazał się ich oczom. Była noc. Najlepsza pora, by się zakraść. Rozszerzone źrenice. Tętno. Działaj!

Weszli do środka. Panował tam dziwny zapach, którego żaden z nich nie potrafił określić. Sebastian modlił się w duchu, żeby koń nie zaczął hałasować. Szli przed siebie bardzo powoli. Szukali Sali Bankietowej. Błądzili przez chwilę korytarzami, po czym znaleźli miejsce, do którego chcieli się dostać.

Badawczo nasłuchiwali – nie chcieli, żeby zobaczył ich jakiś mukata. Wtedy byłoby po nich. Po upewnieniu się, że nikogo nie ma, weszli do Sali.

To, co zobaczyli, naprawdę ich zaskoczyło. Ogromna maszyna z dużą ilością guzików,

pokręteł – ona wydzielala z siebie ów dziwny zapach. Na samym szczycie tego czegoś znajdowały się dwie anteny, które ewidentnie znajdowały się pod napięciem i emitowały dziwne dźwięki. Bardzo niskie, pulsujące, wwiercające się w głowę.

– To stąd muszą pochodzić te fale – powiedział Ygor.

Podeszli bliżej. Nerwowo próbowali znaleźć odpowiedni sposób na to, jak przywrócić wszystko do dawnego porządku. Guziki, przyciski, szufladki...

– Gdzie, do diaska, mam wlać Tolerancję!?

Czasu było coraz mniej. Wiedzieli, że muszą działać sprawnie. Mukaci w każdej chwili mogli ich usłyszeć lub zobaczyć. Ygorowi serce biło szybciej niż zazwyczaj. Kropelki słonego potu zrosiły dłonie i czoło. Źrenice rozszerzyły się do granic możliwości. Panika.... To było coś, czego na pewno nie chcieli teraz doświadczyć. Trzęsące się ręce i pustka w głowie nie polepszały ich położenia. Mężczyzna zaczął po omacku szukać jakiegoś punktu lub miejsca, gdzie powinien wlać Tolerancję.

Szlag! – krzyknął niemo Ygor. Butelka z płynem upadła i poturlała się gdzieś po podłodze. Wiedział, że przybycie mukatów stało się teraz kwestią czasu. Szybko więc kucnął i włożył rękę pod maszynę. Zapach wydobywający się z niej nie napawał optymizmem. Całe szczęście, że flakonik nie potoczył się zbyt daleko. Chwytał go więc bardzo szybko. Podnosząc się, Ygor znalazł szufladkę z napisem „Emocje”. To chyba to – pomyślał. Wlał do niej działkę Tolerancji i szybko zamknął przegródkę.

Błysnęło. Na chwilę dookoła zapanowała jasność. Ygor uśmiechnął się lekko. Czuł podświadomie, że się udało!

– Teraz na pewno przyjdą! Musimy działać szybko. Zostało jeszcze przywrócenie normalnego życia! – zaniepokoił się Sebastian.

Dało się słyszeć kroki, które z sekundy na sekundę stawały się coraz głośniejsze. Sebastian szukał przycisku. Serce biło mu jak oszalałe. Nie mógł zmarnować tej szansy. Doszedł już przecież tak daleko... Tak daleko... Skup się, durniu! – Sebastian powiedział sam do siebie. Błądząc wzrokiem po powierzchni maszyny, która okazała się być sześćkrotnie większa niż on, znalazł dziwne oznaczenia na czterech przyciskach: B, T, P, O. Każda litera odpowiadała jednemu guzikowi.

– BTPO... BTPO, co to, u licha, może oznaczać?!

– Back To Previous Order!

Obaj słyszeli, że mukaci mają jeszcze zaledwie kilka kroków do Sali Bankietowej.

– Niewidzialny! – przypomniał sobie Sebastian. Koń machnął głową.

Mukaci wbiegli do pomieszczenia. Rozejrzeli się tylko i zaczęli skonsternowani badać wnętrze.

– Nie widzą nas – wyjaśnił po cichu Sebastian. – Teraz musimy tylko sprawnie wcisnąć guziki w odpowiedniej kolejności.

Sebastian wspiął się na palce.

B
T
P
O

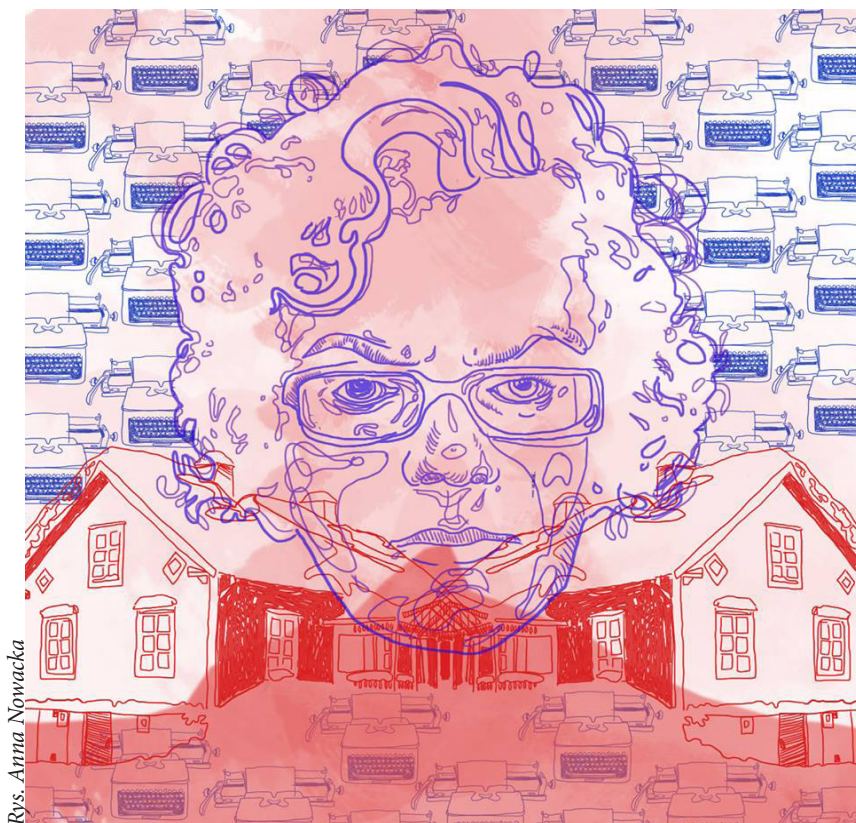
Gdy chłopiec wcisnął O, jeden z mukatów ruszył w ich kierunku. Potem kolejni. Sebastian z Ygorem przeczuwali już śmierć, więc stali spokojnie. Ogarnęła ich myśl, że ludziom będzie się teraz żyło lepiej.

Nieoczekiwanie mukaci zaczęli eksplodować. Jeden po drugim! Ich ciała stopniowo przykrywały posadzkę i kolumny Sali Bankietowej. Sebastian i Ygor patrzyli jak zamurowani. Takiego końca na pewno się nie spodziewali. Obaj byli zszokowani tym, co ukazywało się właśnie ich oczom.

Nie było już ani jednego mukaty.

Chcieli czym prędzej opuścić to miejsce i zobaczyć, jak powiodła się ich misja. Ponadto nie mieli zamiaru spędzić tam ani chwili dłużej!

— Głód... — Usłyszeli cichy szept jednego z konających mukatów. — Nie do końca wam się udało... Głód... Zawsze będzie towarzyszył ludziom... W tej czy innej formie. Zawsze znajdzie się coś, czego nie będziecie mogli mieć.



Rys. Anna Nowacka

NATCHNIENIE

Maciej Zawadzki

W ostatnim czasie moje życie wypełniały tylko praca, jedzenie i sen. Monotonia dnia codziennego sprawiła, że zapomniałem nawet o swoich przyjaciółach, których mogłem policzyć na palcach jednej ręki. Dlatego było mi wstyd, gdy odebrałem telefon od Jeremiasza. Miał wesoły, całkowicie pozbawiony jakichkolwiek pretensji głos, co sprawiło, iż poczucie winy rosło we mnie z każdym kolejnym, wypowiedzianym przez niego słowem. Po wymianie kilku drobnych uprzejmości i wysłuchaniu lakonicznych odpowiedzi na magiczne pytanie „co słyhać?” przeszliśmy do konkretów. Ucieszyłem się, iż nie będę musiał tłumaczyć swojej nieobecności w życiu towarzyskim i z żywym zainteresowaniem czekałem na propozycję Jeremiasza, o której wspomniał między słowami na samym początku.

Mój serdeczny przyjaciel zadzwonił do mnie nie tylko dlatego, że zaczął niepokoić się o mnie, ale również po to, by zaproponować, abym zamieszkał w jego mieszkaniu, gdy będzie przebywał za granicą. Wyjazd miał trwać dwa tygodnie z możliwością przedłużenia o kolejne czternaście dni. Byłem trochę zaskoczony, a jednocześnie szczęśliwy, gdyż nie mogło być lepszego momentu na przeprowadzkę niż właśnie teraz. Wspominałem mu wcześniej o swoich kłopotach z hałaśliwymi, młodymi sąsiadami, którzy od momentu wynajęcia mieszkania zamieniali każdą noc w dzikie zabawy, będące dla innych mieszkańców kamienicy koszmarem, ze szczególnym uwzględnieniem tych, którzy część swojej pracy wykonywali w zaciszu domowym lub też musieli wstawać wczesnym rankiem.

Na nic zdały się skargi, początkowo pisane przez każdego z osobna, później zaś w ramach solidarności sąsiedzkiej – zbiorowo. Ci, którzy podpisali się pod zażaleniem, później tylko tego żałowali, gdyż przyszło im się spotkać z kontrreakcją w postaci zbitej szyby czy przedziurawionej opony. Ja zaś, nie chcąc wyróżniać się spośród innych, spokoju i ciszy potrzebowałem najbardziej, gdyż w owym czasie poświęciłem się pisaniu powieści.

Spotkałem się z Jeremiaszem dnia następnego w kawiarni niedaleko jego mieszkania. Ostatni raz widzieliśmy się ponad trzy miesiące temu. Od tego czasu postanowił zapuścić brodę, by, jak to później wyjaśnił, wyglądać nieco poważniej. Dlatego też na samym początku nie poznałem go i usiadłem przy stoliku obok. Wielki miał z tego ubaw. Już od momentu telefonicznej rozmowy wydawał mi się wielce radosny, co kontrastowało z melancholijnym obrazem, który tkwił żywo w mej pamięci, a który powstał w czasie naszej długoletniej znajomości. Myśląc, iż przyczyną tego nastroju jest wyjazd zagraniczny, poprosiłem go o przybliżenie szczegółów owej wycieczki. Wyjaśnił mi, iż celem jego podróży jest Paryż, gdzie ma spotkać się z pewnym bogatym i wpływowym biznesmenem, a zarazem wielkim miłośnikiem sztuki, który chciał zorganizować dla niego wystawę i wesprzeć jego talent. Wieść ta ucieszyła mnie nie mniej niż samego Jeremiasza, gdyż zawsze byłem orędownikiem jego talentu i wydawało mi się tylko kwestią czasu, aż ktoś go dostrzeże. Gdzieś na dnie serca poczułem delikatne ukłucie zazdrości, gdyż sam miotałem się pomiędzy kolejnymi owocami mego niespełnienia.

Po wizycie w kawiarni udaliśmy się do mieszkania, które znajdowało się zaraz po drugiej stronie ulicy. Była to spokojna okolica, zamieszkała głównie przez artystów ceniących sobie ciszę. Weszliśmy po schodach na trzecie piętro, po drodze mijając uroczą kobietę, która przystanęła na chwilę, by przywitać się z Jeremiaszem i poznać moje imię.

Kiedy zamknęły się drzwi, ujrzałem skromną kawalerkę, która, choć mała, miała swój urok. Nie potrzebowałem do szczęścia nic więcej.

Drugiego dnia mojego pobytu w mieszkaniu zadzwonił z samego rana Jeremiasz, by poinformować o bezpiecznym dotarciu do stolicy Francji. Zaparzyłem sobie mocną kawę i usiadłem przy biurku, specjalnie przywiezionym z mojego mieszkania. Byłem do niego przyzwyczajony i, może to głupie, ale lepiej mi się przy nim pisało. Sądziłem, że na razie stanowiło to niegroźny przesąd, jednak spodziewałem się mieć z czasem coraz więcej tego typu natręctw. Być może jest to nieodłączna cecha każdego dziwaka o aspiracjach twórczych.

Do południa zapisałem dziesięć stron, które przybliżyły mnie do upragnionego, ostatniego rozdziału. Siedząc na krześle w kompletnym bezruchu (nie licząc pracy dłoni), nabawiłem się ostrego bólu kręgosłupa. Był to ból znajomy, towarzyszący mi każdego dnia, bez względu na porę roku. Przyzwyczałem się do niego, a nawet po każdym dniu pracy oczekiwałem jego nadejścia. Nie dlatego, że byłem masochistą. Po prostu uważałem go za najlepszego krytyka moich prac. Skoro historia powstała w mojej głowie, zapisywana później na kartkach papieru, pochłaniała mój umysł na kilka godzin tak, iż zapomniałem o bożym świecie z uwzględnieniem posiłku, skorzystania z toalety czy zwykłej zmiany pozycji, oznaczało to dobrze wykonaną robotę.

Po bólu przyszła pora na nowe doznania. Tak jakby w czasie pisania, ktoś zamroził mnie, by później, po zakończonej pracy znów przywrócić we mnie funkcje życiowe. Miażdzący walec przestał jeździć po moim kręgosłupie, a jego miejsce zajął głód, którego zaspokojenie stało się priorytetem. Generalnie nie lubiłem oddalać się zbyt daleko od miejsca zamieszkania, dlatego postanowiłem wpaść do małej restauracji, kilka kroków stąd.

Czując jeszcze w ustach smak wybornej pieczeni, wracałem do domu pełen świeżych pomysłów na rozwinięcie powieści. Nowe miejsce od razu pobudziło mnie twórczo i zgodnie ze swoją pesymistyczną naturą zacząłem się zastanawiać, co pocznę, gdy Jeremiasz powróci z Paryża i będę musiał wrócić do swojej kamienicy. Wtedy zaświtała mi w głowie myśl, którą rozwinąłem, będąc już w mieszkaniu. Stojąc przy oknie i obserwując przez nie świat, postanowiłem, że bez względu na wszystko, dla dobra swojego stanu psychicznego i rozwoju kariery pisarskiej, wyprowadzę się do innego lokum, równie przyjaznego artystycznym aspiracjom jak to, w którym miałem szczęście się znajdować.

Planowałem jeszcze trochę posiedzieć przed maszyną, by w optymistycznej wersji napisać kolejne dziesięć stron. Uznałem, że należy kuć żelazo póki gorące, gdyż wena, czy cokolwiek innego, co nawiedziło moją pisarską duszę, może w każdej chwili ulecieć. Prawdę mówiąc, nigdy nie wierzyłem w romantyczną historię o chwili natchnienia, która spada na twórcę, rozpalając w nim iskrę bożą. Skłaniałem się raczej ku mało atrakcyjnej, żmudnej, rzemieślniczej wręcz, codziennej pracy. To, co działo się ze mną w czasie pobytu u Jeremiasza, mocno poddało w wątpliwość moje dotychczasowe poglądy w tej materii.

Zanim jednak usiadłem do pisania, skusiłem się na chwilową drzemkę na niezwykle wygodnej kanapie, która jest największą kusicielką odrywająca człowieka od pracy. Planowane kilka minut przerodziło się w kilka godzin. Obudziłem się na podłodze, w ustach czując nieprzyjemny, kwaśny posmak. Na wprost śpiący, chwiejnym krokiem wpadłem do kuchni, by nalać szklanek wody i zwilżyć podniebienie.

Wróciłem do pokoju, po drodze spoglądając na zegar wiszący w przedpokoju. Mała wskazówka znajdowała się pod liczbą dziesięć, duża zaś na szóstce. Sam byłem zaskoczony, gdyż oznaczało to, że przespałem ponad siedem godzin. Zacząłem zastanawiać się, czym mogłem być tak zmęczony. Po chwili doszedłem do smutnego wniosku, że widocznie tak wyglądają pierwsze symptomy starzenia. Uczciłem to filiżanką zielonej herbaty, nabytej przez Jeremiasza w czasie podróży po Indiach. Zapaliłem światło na biurku, usiadłem na krześle, poruszałem palcami, po czym położyłem je na maszynie. Przez chwilę poczułem się jak pianista tuż przed rozpoczęciem swojego występu podczas konkursu Chopinowskiego. Jednak nie przywitały mnie brawa publiczności dodające otuchy.

Herbata nie zdążyła jeszcze ostygnąć, gdy zapisałem już pięć stron, z czego byłem niezwykle dumny, zważywszy na nastrój, w jakim znajdowałem się zaraz po popołudniowej drzemce. Skończyłem kolejny rozdział i oderwałem na chwilę oczy od maszyny, gdyż wszystkie litery zaczęły zlewać się w jedną, niewyraźną plamę. Wyprostowałem się na krześle, nabrałem powietrza do płuc i uniosłem wzrok. Zaskoczył mnie widok obrazu wiszącego na ścianie, przy której stało moje biurko. Nie wynikało to z silnych doznań, jakich doświadczyłem, obserwując to dzieło, lecz z samego faktu, iż ono tam się znajdowało. Pochłonięty pisaniem, nie zwracałem na takie rzeczy uwagi, a mimo iż obraz nie należał do wybitnych, było w nim coś intrygującego.

Przedstawiał małą, drewnianą chatkę, kryjącą się za chudymi, stojącymi obok siebie patykami, przypominającymi drzewa, choć wyglądały całkiem nierealnie, wyjęte jakby z koszmarne snu. Niepokój, który wywoływał ten obraz potęgował fakt, iż był on namalowany za pomocą tylko dwóch kolorów: czarnego i białego. Wodziłem po nim wzrokiem, szukając podpisu autora, jednak mały bohomasz, znajdujący się w prawnym dolnym rogu, niczym nie przypominał tego, co zawsze widziałem na obrazach mojego przyjaciela.

Do północy zdążyłem rozpocząć kolejny rozdział i odkryłem na koniec, ku mojemu zdumieniu, że pisało mi się zdecydowanie lepiej, zarówno jeśli chodziło o treść, jak i ilość. Przez moment pomyślałem, iż może upiorna chatka w koszmarnym lesie tak zadziałała na moją wyobraźnię. Uznałem, że mogę zapisać to do listy kolejnych moich pisarskich dziwactw. Byłem gotów wypełnić nimi całą książkę telefoniczną, jeśli tylko udałoby mi się utrzymać taką formę.

Leżąc w łóżku, próbowałem zasnąć, jednak bezskutecznie. Spojrzałem na ścianę, na której wisiał obraz. Padał na niego blask księżyca, przez co stał się jedynym jasnym punktem w mieszkaniu pogrążonym w ciemności. Patrzyłem jak zahipnotyzowany, wewnątrz czułem zaś dziwne połączenie lęku i ciekawości. Obraz pobudził moją wyobraźnię, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Przez moment – zaznaczam, bardzo krótki – wydawało mi się, że drzwi od chatki poruszyły się. Początkowo przeszedł mnie dreszcz, chociaż dobrze wiedziałem, że to niemożliwe. Uznałem, że oglądanie czas zakończyć i odwróciłem się na drugi bok. Zanim zasnąłem na dobre, minęło jeszcze kilkanaście minut. W tym czasie nieraz nachodziła mnie ochota, by znów się odwrócić i spojrzeć na anonimowe dzieło.

Następnego dnia obudził mnie dźwięk dzwonka. Otwierając oczy, nie mogłem przypomnieć sobie momentu, w którym ustawiałem go poprzedniego dnia. Nie zastanawiając się zbyt nad tą kwestią, poszedłem do kuchni przyrządzić śniadanie, jednak zajrzawszy do lodówki, zorientowałem się, że nie mam odpowiednich produktów. Prawdę mówiąc, nie miałem żadnych, nie licząc na wpół wypitego kartonu mleka i szynki wątpliwej świeżości. Uznałem, że poranny spacer dobrze mi zrobi. Wróciłem niecały kwadrans później z siatką wypełnioną zakupami, których ilość starczy na kolejny tydzień, tak bym mógł w pełni skupić się na pisaniu, nie wychodząc niepotrzebnie z domu. Napelniwszy żołądek, wróciłem do pokoju ze szklanką czarnej kawy. Postawiłem ją na biurku i, jak każdego dnia, usiadłem na krześle celem napisania kilku stron nieśmiertelnej prozy.

Trzymałem już palce na maszynie, kiedy ku mojej zgubie spojrzałem w górę na obraz, który tak zafascynował mnie dzień wcześniej. Przetarłem oczy i patrzyłem na chatkę z niepokojem. Jej drzwi wejściowe były lekko uchylone. To, co zeszłej nocy uznałem za przewidzenie, teraz okazało się prawdziwe. Poczułem się trochę nieswojo, co wybiło mnie całkowicie z rytmu pracy. Opadłem na krzesło i zamiast kontynuować pisanie, siedziałem w bezruchu z otwartymi ustami, próbując wyjaśnić sobie zmianę na obrazie. Starając się wrócić do równowagi psychicznej, wytłumaczyłem to tym, iż najwidoczniej wcześniej nie skupiłem się na szczegółach, podziwiając ogólny widok, lecz odzywał się we mnie głos, który był gotów przysiąc, iż widziałem zamknięte drzwi. Uznałem, że najlepszym rozwiązaniem będzie zasłonięcie obrazu jakimś materiałem, tak bym mógł w pełni skupić się na pisaniu. Jak pomyślałem, tak też zrobiłem i za pięć minut chatka pośród przeklętych drewnianych słupów stała się dla mnie tylko wspomnieniem.

Z uśmiechem na twarzy położyłem znowu palce na maszynie, chcąc całkowicie uciec w świat fikcji literackiej. Jednak, by tam się znaleźć, musiałem przynajmniej rozpocząć pisanie, co, jak się później okazało, przerosło moje możliwości. Palce zeszytywniały mi od trzymania ich nieruchomo przez więcej niż kwadrans, a kartka papieru wciąż lśniła bielą, nie zmaconą choćby jednym słowem. Paradoksalnie, zaszkodziłem sobie zakrywa-

niem obrazu, który działał na mnie w sposób magiczny (podejrzewałem jednak, że było to działanie czarnej magii), lecz nie mogłem pozwolić sobie na ponowne jego odstąpienie, gdyż mogło się to dla mnie skończyć popadnięciem w osobliwy rodzaj obłądu i szaleństwa.

Zacisnąłem pięści i postanowiłem odzyskać wenę twórczą o własnych siłach. Po godzinie, gdy pusta kartka papieru powodowała u mnie rosnącą z prędkością światła frustrację, poddałem się albo, co lepiej odda sytuację, poprosiłem o czas. Widocznie na dzisiaj wystarczy atrakcji – pomyślałem i poczułem chęć wyrwania się z mieszkania, gdzie czułem na sobie „wzrok” obrazu, pomimo faktu, iż był pokryty cienkim materiałem, służącym wcześniej jako prześcieradło.

Założyłem płaszcz, gdyż na dworze ochłodziło się. Sprawdziłem zawartość portfela i zamknąłem drzwi z uczuciem ulgi. Wsiadłem do autobusu i jeździłem bez celu. Chciałem się napić, a jednocześnie znaleźć jak najdalej od tego miejsca. Rozmyślałem o książce i o obrazie. Czułem silny związek, między moją płodnością twórczą, a patrzeniem na dziwaczne dzieło, które było żywe i miało zdolność do przemiany.

Wysiadłem w nieznannej mi okolicy. Z daleka ujrzałem świecący się na czerwono neon z nazwą baru, która nie zapadła mi nigdy wcześniej w pamięć. Wstąpiłem tam celem znieczulenia. W środku unosił się zapach alkoholu, wymieszany z kiepskiej jakości tytoń. Przy jednym ze stolików siedział drobny pijaczek, który melancholijnym wzrokiem patrzył na pusty kieliszek od wódki. Po drugiej stronie, przy ścianie rozmawiały drapieżnie umalowane kobiety, które pod grubą warstwą makijażu chciały ukryć fakt, iż ich dni chwały na polu relacji damsko-męskich dawno minęły.

Zamówiłem u barmana niepasteryzowane piwo i z kuflem, z którego przelewała się piana, skierowałem się do jednego z wolnych stolików. Jedna z wymalowanych kobiet rzuciła na mnie wyzywające spojrzenie. Ograniczyłem się do delikatnego uśmiechu, mówiącego „nie dzisiaj” w ramach odpowiedzi. Nie zauważyłem u niej choćby cienia rozczarowania, co pozwoliło mi domyśleć się, że przywykła już do odmów.

Po pierwszym kuflu przyszedł drugi, po drugim trzeci, a po trzecim... przestałem liczyć. Drobny pijaczek, który do tego momentu wciąż patrzył się na pusty kieliszek, tym razem skierował wzrok na moją postać. Widocznie uznał, że pomogę mu przywrócić smak wspomnień, ratując go kilkoma monetami. Denerwowało mnie jego spojrzenie, a pod wpływem alkoholu wychodziły ze mnie niewykorzystane za dnia pokłady agresji. Czułem, że dzisiejsza noc może zakończyć się bójką, gdy wtęmem zdrętwiałem i cała negatywna energia ze mnie uszła. Nad głową pijaczka, na obskurnej ścianie wisiał obraz... nie jakiś zwykły wytwór wyobraźni malarza – opiumisty. To był obraz z mojego mieszkania,

a raczej z mieszkania Jeremiasza. Niezdarnie podniosłem się z krzesła i ruszyłem chwiejnym krokiem w kierunku dzieła sztuki. Pijaczek, widząc moją zbliżającą się postać, odwrócił się plecami, jakby bał się mojego gniewu. Ja jednak w ogóle nie zwracałem na niego uwagi. Moje myśli krążyły tylko i wyłącznie wokół tej przeklętej chatki.

Stałem naprzeciwko niej. Czułem, że nie dam rady zachować równowagi przez dłuższą chwilę. Walczyłem jednak z ograniczeniami swojego ciała na tyle, na ile mogłem. Wystarczyło to, by dostrzec małą postać wyłaniającą się z drzwi szerzej uchylonych niż te, które znajdowały się na moim obrazie. Twarz miała zamazaną, choć przez chwilę zdawało mi się, iż widzę Jeremiasza. Następny widok, który ujrzałem przed oczami, to ciemno wiśniowy kolor sufitu, który mogłem podziwiać, leżąc na podłodze obscurnego baru. Po chwili patrzyły na mnie nachylone dwie wymalowane kobiety, z czego jedna z nich (ta, która zalecała się do mnie) wykrzywiła usta, w dziwnym quasi-uśmiechu, jakby cieszyła się z mojego położenia. Druga, bardziej przejęta, mówiła coś do barmana, który trzymał w prawej ręce telefon i prawdopodobnie dzwonił na pogotowie lub też policję. Brakowało mi tylko jednej postaci.

Poczułem, jak ktoś grzebie w lewej kieszeni mojej kurtki. Od razu wiedziałem, że to pijaczek. Nie miałem jednak siły, by zareagować w jakikolwiek sposób. Dźwięki zaczęły docierać do mnie coraz bardziej wyraźnie, tak samo wyraźnie jak ból krążący wokół czaszki.

W nocy, a raczej nad ranem, wróciłem ze szpitala do domu. Z bandażem na głowie wyglądałem nieco komicznie, chociaż akurat mnie nie było do śmiechu. Marzyłem tylko o tym, aby położyć się do ciepłego łóżka i zapaść w sen, baaardzo długi sen, z którego nikt mnie nie wybudzi. Środki przeciwbólowe przestawały działać, dlatego też sięgnąłem po resztki whiskey, która, schłodzona, wiernie czekała na mnie w lodówce. Po wypiciu małej szklaneczki tegoż szlachetnego trunku poczułem się znacznie lepiej, a chęć snu na chwilę odeszła.

Wszedłem do pokoju, który wyglądał całkiem normalnie, niczym nie przypominając upiornego miejsca, które porzuciłem ostatniej nocy, by powrócić do równowagi psychicznej. Wszystko przez ten obraz.... Jezu słodki, obraz!!!

Uczucie lęku powróciło, jednak teraz zareagowałem inaczej. Rzuciłem wrogie spojrzenie na ścianę, przy której stało moje biurko. Przez okno, które z niewiadomych przyczyn było otwarte, wlatywał przenikliwy chłód. Na ścianie wciąż wisiał obraz, jednak, znów odkryty, straszył swoim piekielnym wdziękiem. Materiał służący do zakrycia leżał na podłodze. Tym razem, nabrawszy głęboki wdech, poczułem dziwny przypływ odwagi. Policzyłem do czterech, podszedłem bliżej i spojrzałem na obraz. Nie byłem zaskoczony, gdy moim oczom ukazała się mała postać stojąca w uchylonych drzwiach. Pomyślałem, że nie dam wciągnąć się w kolejną grę i nie będę analizować przyczyn, dla których poprzed-

niej nocy widziałem w barze zmianę, która dokonała się na obrazie będącym w moim mieszkaniu. Przyjąłem po prostu wyzwanie, jakie rzuciła mi bliżej nieokreślona siła stojąca za dziwnym malowidłem, udającym tylko dzieło sztuki.

Wedle moich obliczeń został mi dokładnie tydzień do ukończenia książki, jeśli będę ją pisał w takim tempie, jak wtedy, gdy pierwszy raz ujrzałem chatkę. Jednocześnie byłem świadom, że cena, jaką będę musiał zapłacić za przyptyw weny twórczej, może okazać się wysoka. Byłem pewien, że zmiany na obrazie będą dokonywać się z każdą zapisaną przez mnie kartką, a dziwna, tajemnicza postać, wychylająca się delikatnie z chatki, ujawni wreszcie swe oblicze. Ale liczyła się tylko książka.

Następnego dnia, obudziłem się jeszcze przed dwunastą, co przy moim trybie pracy należało do rzadkości. Postanowiłem wykorzystać maksymalnie pozostały mi czas tak, by ukończyć powieść w przeciągu tygodnia i raz na zawsze pozbyć się obrazu, nawet kosztem zerwania przyjaźni z Jeremiaszem. Byłem przekonany, że mój przyjaciel nie tylko zrozumie konieczność takiego rozwiązania, ale także poprze moje działanie.

Ściągnąłem materiał, który chował przed światem owoc diabelskiej siły. Zakładałem go każdej nocy, by zmiany na nim nie zachodziły zbyt szybko. Tajemnicza postać wciąż tkwiła w tym samym miejscu co zeszłej nocy. Usiadłem przed maszyną. W pierwszej chwili zawahałem się, gdyż myślałem tylko o tym, iż każde zapisane słowo będzie niczym pożywienie dla tajemniczej siły, kierującej elementami obrazu, a konkretnie jednym. Uderzyłem palcem w pierwszy klawisz, nie mając jeszcze w głowie żadnego pomysłu, i zanim zdążyłem się zorientować, zapisałem całą stronę. Praca nigdy dotąd nie wydawała mi się tak łatwa. Słowa wręcz pływały po kartce papieru, a ja wydawałem im tylko komendy, które w moim odczuciu nie należały do mnie. Odniosłem wrażenie, jakby ktoś inny pisał za mnie, wykorzystując moje ciało i umysł. Gdybym był człowiekiem gorliwie wierzącym, pomyślałbym w tej chwili, iż uległem opętaniu.

Po zapisaniu kolejnych dziesięciu stron nie mogłem powstrzymać ciekawości i zerknąłem delikatnie ku górze. Obraz wciąż był niezmienny. Postać stała nieruchomo, a przez moment wydawało mi się, jakby cofnęła się nawet trochę w głąb chatki. Uznawszy to za przewidzenie, postanowiłem zrobić sobie chwilę przerwy. Poszedłem do kuchni i nalałem sobie ostatnie krople whiskey, której zapach był ledwo wyczuwalny!

Wyprostowałem się na krześle i, nim przystąpiłem do ponownego pisania, musiałem skontrolować obraz, co stało się już moim nawykiem. Jak możecie się domyślić, tajemnicza postać znajdowała się dobrych kilka kroków przed domkiem. Drzwi od chatki pozostały otwarte, jakby czekając na jej powrót. Ja jednak byłem całkowicie pewien, że zanim powróci do swojej upiornej posiadłości, będzie chciała załatwić sprawę ze mną. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. W ostatnim czasie żyłem na granicy obłądzenia, dlatego też przyzwyczałem się do reguł w nim panujących.

Popołudnie upłynęło mi na ukończeniu przedostatniego rozdziału. To zdecydowanie więcej niż przewidywałem wcześniej. Pisałem szybciej i więcej, ale też postać z obrazu przemieszczała się szybciej i była bliżej mnie. Co więcej, w nocy, tuż przed pójściem spać, zanim zasłoniłem obraz, zaobserwowałem, iż mężczyzna z obrazu trzyma w prawej ręce dziwne narzędzie, które, choć ciężko było zidentyfikować, po raz pierwszy od dłuższego czasu sprawiło, iż przeszedł mnie po plecach dreszcz. Z tym nieprzyjemnym uczuciem postanowiłem powiedzieć mężczyźnie dobranoc. Przykrywszy go materiałem, udałem się na spoczynek (jeszcze nie wieczny).

Przez następne pięć dni tempo pracy nieco spadło, jednak również mój rywal postanowił trochę odpocząć, zbliżając się do mnie bardzo małymi krokami. Pomimo tego, iż z każdym dniem jego postać powiększała się w stosunku do reszty obrazu, twarz jego wciąż była rozmazana, anonimowa jak jego twórca. W międzyczasie odebrałem telefon od Jeremiasza, który poinformował mnie o wcześniejszym powrocie z Paryża. Spotkanie z bogatym biznesmenem przebiegło po jego myśli, dlatego też wracał jak najszybciej, by załatwić jeszcze formalności związane z transportem obrazów na wernisaż. Chciałem zapytać, czy obraz ze ściany również będzie jego częścią, jednak przekładałem to zbyt długo i mój przyjaciel, pozdrowiwszy mnie, rozłączył się. Miałem oczekiwać go za trzy dni, czyli dokładnie dzień po planowanym zakończeniu przeze mnie książki. Pomyślałem, że będę miał czas, by zniszczyć obraz i przygotować się odpowiednio do wytłumaczenia tego czynu.

Nadszedł długo oczekiwany dzień. Ostatni dzień pracy nad książką. Z tej okazji wstąpiłem do sklepu i zakupiłem świeżutką butelkę whiskey, która, wstawiona do lodówki, czekała cierpliwie na świętowanie. Zapomniałem całkowicie o postaci z obrazu, która, choć była coraz bliżej, wciąż znajdowała się w bezpiecznej odległości. Im bliżej byłem końca, tym mocniej wierzyłem w to, że uległem jakiejś dziwnej, tymczasowej chorobie, związanej z procesem twórczym i wyczerpaniem organizmu. Zapisując słowo „KONIEC” na ostatniej stronie, byłem przekonany, że postać wróci do swojej chaty i wszystko będzie tak jak przedtem. Udam się na zasłużone wakacje, gdzie nie będę robić dosłownie nic (może prócz paru przyjemnych chwil u boku jakiejś zgrabnej butelki whiskey, ewentualnie kobiety).

Siedziałem do wieczora ze szklanką wypełnioną ciemno brązowym płynem. Patrzyłem na obraz z uczuciem tryumfu. Przed każdą kolejną kolejką obiecywałem sobie, że zniszczę obraz. Pójdę po jakiś nóż, dźgnę nim prosto w postać na obrazie i zaznam spokoju. Jednak z każdym kolejnym pociągnięciem czułem się coraz bardziej obcy w swoim cie-le. Kończyny zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa, a i zmysły zaczynały mnie zawodzić.

Wszystko zdawało mi się snem, przedmioty zlewały się w jednobarwną plamę.

Uznałem, iż jestem nazbyt pijany, bym mógł cokolwiek zrobić oprócz pójścia spać, dlatego też postanowiłem, że rozprawię się z obrazem z samego rana, nawet gdyby miał mnie przywitać potworny ból głowy.

Śniłem o rajskich plażach, na których to planowałem relaksować się w ramach zasłużonego odpoczynku po ciężkiej pracy, jaką było pisanie powieści, gdy dobiegł mnie hałas. Nie mogłem go dokładnie zlokalizować, gdyż słuch miałem jeszcze mocno przytępiony, a wszystkie dźwięki dochodziły jakby z wnętrza mojej głowy. Otworzyłem oczy, lecz ledwo co widziałem. Pomijając już kwestię mojego upojenia, było po prostu ciemno (jak to bywa w nocy). Jedyny oświetlony blaskiem księżyca punkt stanowił obraz, który tkwił nie zasłonięty na ścianie. Jednak nie widziałem na nim mężczyzny. Wytężyłem wzrok – na próżno. Nie było go tam.

Jeremiasz wrócił z komisariatu, gdzie składał zeznania w sprawie samobójczej śmierci swojego najlepszego przyjaciela. Wciąż był oszołomiony i nie chciał przebywać w mieszkaniu, w którym do tego doszło. Jednak nie miał wyboru. Z lękiem wszedł do pokoju, gdzie przed kilkoma godzinami dwóch sanitariuszy podniosło sztywne ciało pisarza, którego świeżo ukończony maszynopis wciąż leżał dumnie na biurku. Wiedział, że jego obowiązkiem będzie doprowadzenie do wydania tej powieści, wydania pośmiertnego. Zrobiło mu się niedobrze, a łzy same napłynęły do oczu. Nie mógł się powstrzymać. Pociągając nosem, podszedł bliżej do obrazu wiszącego na ścianie, gdyż coś przykuło jego uwagę. Spojrzał raz, spojrział drugi i wciąż nie dowierzał. Przecież sam był autorem tego rysunku. Tuż przed chatką stała jakaś postać, odwrócona plecami do osoby obserwującej. Jeremiasz podszedł jeszcze bliżej tak, że nosem prawie dotykał obrazu. Nałożył okulary i zmrużył oczy. Postać w prawej ręce trzymała zakrwawiony nóż....

Rys. Roman Panasik



NIE ISTNIEJE

Szymon Dressler

Chodzą legendy, że nad tym spokojnym miasteczkiem, jakim są Starachowice, wisiała straszliwa klątwa. Nieliczni starsi obywatele czują, że ta klątwa nie opuściła tego cichego miasta. Podobno w XIX wieku, w lesie niedaleko miasta mieszkała umysłowo chora kobieta. Nikt nie znał ani jej imienia, ani pochodzenia. Wszyscy o niej zapomnieli aż do pewnego straszliwego wydarzenia. Niestety, nikt nie pamięta, o jakie dokładnie straszliwe wydarzenie chodziło. A może po prostu nikt chce tego powiedzieć? Wybaczcie, że tak się zagalopowałem z tą historią. Zacznę więc od początku.

Razem ze współpracownikami przebywaliśmy w naszym gabinecie w Katowicach. Był 29 marca 2011 roku. Zapamiętam na zawsze ten dzień, a raczej dziwną przesyłkę, która znalazła się pod drzwiami naszego gabinetu. Była to drewniana skrzynia, na której widniał napis: „Nie istnieje”. Wraz z moimi współpracownikami wnieśliśmy ją do środka, po czym poszedłem do garażu poszukać łomu, którym mógłbym otworzyć tajemnicze znalezisko. Po pięciu minutach skrzynia stała już otwarta, a naszym oczom ukazały się dokumenty Starachowic. Pomyślałem, że to jakaś pomyłka, gdyż my nie zajmujemy się

administracją tylko wypędzaniem nieproszonych gości z zaświatów, lecz moja wrodzona ciekawość zwyciężyła i zacząłem szperać w dokumentach. Nikt ich nie przeglądał od wielu lat, o czym świadczyła duża ilość znajdującego się w aktach kurzu. Oprócz mapy z XIX wieku oraz kilku dokumentów własności ziemi znalazłem „ciekawą” (co może dziwnie zabrzmieć) nekrolog, na tyle którego znajdowała się interesująca notka. Było w niej napisane:

„Po straszliwej masakrze w Starachowicach obywatele wzięli sprawiedliwość we własne ręce. W nocy z 4 na 5 kwietnia 1819 roku mieszkańcy zakradli się do leśnej chatki nieznamym kobiecie, która była uważana za czcicielkę Boga. Obrali ją żywcem ze skóry, a następnie wylali na nią kocioł z wrzącą smołą. Miejscowy ksiądz, który był przeciwny tym straszliwym działaniom, wyniósł skórę czcicielki Boga w głąb lasu. Jednak już nigdy nie powrócił do swoich umiłowanych parafian.

Według mieszkańców pobliskich miasteczek widziano postać w zakrwawionym manipularzu, która podążała w głąb lasu z czymś w ręku, jakby z jakimś materiałem.” Pewnie to była skóra tej kobiety – pomyślałem, czytając dalej.

„Każdego roku w pierwszym tygodniu kwietnia można zauważyć kogoś, kto wędruje po lesie. Dlaczego wędruje? Jaki jest jego cel? Tego nie wie nikt.”

Po przeczytaniu tej notki wiedziałem jedno – musimy to zbadać. Na nasze szczęście kwiecień jeszcze się nie zaczął, mieliśmy więc cały dzień na spakowanie się i zaplanowanie naszego śledztwa. Późnym wieczorem mogliśmy wypocząć po ciężkich przygotowaniach do podróży.

Następnego dnia, zanim odebrałem bilety na pociąg do Starachowic, przeczytałem sobie trochę o tym mieście. Znajduje się ono w województwie świętokrzyskim, w powiecie starachowickim. Położone jest na pograniczu Gór Świętokrzyskich i Przedgórze Hłuckiego. Leży w dolinie rzeki Kamiennej. Jest otoczone rozległymi lasami, które są pozostałością Puszczy Świętokrzyskiej.

Wróciłem już z biletami i z nowo nabytą wiedzą o miejscu, które było celem naszej podróży. Jarek parzył dla nas herbatę do obiadu, który składał się z zupek chińskich oraz kanapek z szynką i serem królewskim. Zaraz po zjedzeniu stawy sprawdziliśmy na zapas, czy wszystko mamy spakowane i czy niczego nam nie zabraknie. Po chwili siedzieliśmy w gabinecie i omawialiśmy do północy tajemniczą notkę. Zaznaczyliśmy też na mapie miejsca, które zamierzaliśmy sprawdzić.

Obudził mnie blask promieni słonecznych, który pieścił mój kilkudniowy zarost. To już ten dzień – pomyślałem. Obudziłem resztę ekipy i poszedłem wziąć odświeżającą kąpiel. Następnie powiedziałem każdemu z osobna, co ma zrobić. Poszło to bardzo szybko i sprawnie, ponieważ jesteśmy zgraną ekipą, która pracuje ze sobą już piętnaście lat. Jarek przygotował prowiant na podróż, a Józef upichcił dla nas jajecznicę, która okazała się obfitą ucztą oraz zapewniła nam duży przyływ energii. Powinno starczyć jej nam na cały dzień podróży.

Po upływie godziny siedzieliśmy już w przedziale pociągu prowadzącego do naszego celu. Warunki, jakie tu panowały, były paskudne. Siedzenia okazały się obskurne, ubrudzone ketchupem, a do tego wszystkiego wokół unosił się nieprzyjemny zapach zgnilizny wydobywającej się spod siedzeń. Po około sześciu godzinach dotarliśmy do naszego celu. Było już po piętnastej, więc czym prędzej udaliśmy się wypożyczonym samochodem w pobliże lasu, w którym to widziano zjawę klechy. Podczas podróży zauważyłem, że Starachowice wyglądają na ciche i spokojne miejsce – idealne do życia dla ludzi, którzy nie lubią zatłoczonych miast. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów zatrzymaliśmy się, ponieważ GPS poinformował nas, że zaplanowana podróż dobiegła końca. To znaczyło jedno – jesteśmy na miejscu. Wsiadłem i pierwsze co zauważyłem – a raczej czego nie usłyszałem – to brak oznak życia fauny leśnej. Co sprawiło, że nie ma tutaj żadnych zwierząt? Czyżby wyczuwały zbliżające się niebezpieczeństwo? Z drogi asfaltowej las wyglądał na bardzo stary. Czułem, że te dęby i topole widziały już niejedno. Drzewa były porośnięte mchem, który budził się z zimowego letargu. Widać było, że ten sen dodał im powiewu świeżości. Kiedy patrzyłem na drzewa, to miałem wrażenie, jakby przeszywały mnie wzrokiem. Czułem się przytłoczony, bałem się wejść do tego jaru, ale nie miałem wyjścia. Moja ciekawość wygrała ze strachem, jaki odczuwałem. Zrobiłem pierwszy krok w kierunku lasu, ale nagle podskoczyłem...

– Józef! Nie mogłeś mnie po prostu zawołać!? Ale nie! Ty musiałeś mnie wystraszyć!

– Wybacz, Marcin, ale musimy zabrać nasz sprzęt i rozłożyć namioty w lesie, a powoli robi się coraz ciemniej – zaczął tłumaczyć się mój kompan.

Widać było w jego oczach, że żałował tego, co zrobił, więc po chwili pozwoliłem temu wydarzeniu odejść w zapomnienie i pomogłem chłopakom zabrać sprzęt.

Szliśmy malutkim gościńcem, który odkryliśmy już po 5 minutach, od kiedy weszliśmy do lasu.

– Zauważyliście, że nie ma tu żadnych zwierząt? – spytał Jarek.

– Nawet cholernych mrówek nie ma! Żadnych mrowisk! Kompletnie nic! – potwierdził Henryk.

– Ja już to zauważyłem, kiedy wsiadłem z samochodu – dodałem.

Po tej krótkiej konwersacji szliśmy niemal dwie godziny w milczeniu, podziwiając „urok” upiornego lasu.

– Tu rozbijemy nasz obóz – powiedział z nutą podniecenia w głosie Józef.

Odłożyliśmy nasze bagaże i zaczęliśmy rozkładać namioty. Po dwudziestu minutach były już postawione i gotowe do zapewnienia nam małego, ale zawsze jakiegoś, poczucia bezpieczeństwa. Dumni z naszego obozu podzieliliśmy się na dwie grupy, z których jedna, czyli ja i Henryk, mieliśmy zebrać suche patyki na opał. Druga zaś miała pilnować obozu. Zebrane patyki odłożyliśmy na stertę, która nabrała imponujących rozmiarów. W myślach nawet zażartowałem, że z taką pokaźną stertą opału możemy tu przetrwać przynajmniej miesiąc.

Rozpaliliśmy małe ognisko, które miało nam zapewnić ciepło na zbliżającą się noc.

– Sprawdźmy na mapie, gdzie jesteśmy i wybierzmy miejsca, do których pójdzie jutro która grupa – zaproponował nieśmiało Jarek.

– Świetny pomysł! – powiedziałem.

Bez zastanowienia pozostali koledzy zgodzili się, więc wyjąłem mapę lasu. Oszacowaliśmy bardzo dokładnie miejsce, w którym obecnie się znajdowaliśmy, a następnie po długiej naradzie wybraliśmy i zaznaczyliśmy obszary naszego śledztwa, które od rana zaczniemy odkrywać.

Zjedliśmy konserwy, popijając je gorącą herbatą, a następnie każdy poszedł spać do swojego namiotu. Jutro będzie długi dzień – pomyślałem, po czym Hypnos przyszedł po mnie, zabierając mnie do swojej krainy.

1 kwietnia 2011 roku

Obudził mnie intensywny powiew przyjemnego wiatru, który niczym asasyn wkraść się bez żadnego problemu.

– To już dziś, panowie! – usłyszałem z zewnątrz namiotu.

Po głosie poznałem, że to Józef, który jak zawsze okazał się rannym ptaszkiem. Po dziesięciu minutach stałem przy ognisku ubrany, podgrzewając herbatę, która jeszcze została z nocy.

– Za piętnaście minut każda z grup idzie do swojego celu! – rzekł Jarek, biorąc po chwili porządny łyk ciepłej herbaty.

– Zabierzmy to, co jest niezbędne, resztę zostawmy w o bozie. Spotkamy się tu o 14:00 – powiedział Henryk, pakując niezbędny asortyment do plecaka.

Po dwudziestu minutach nie widzieliśmy już drugiej grupy. Nie przejmując się tym, ruszaliśmy przed siebie, w głąb naszego miejsca przeznaczenia.

Zauważyłem na wysokości moich oczu wyryte na korze drzew chrześcijańskie krzyże. Czyżby duch klechy je rysował? Im dalej szliśmy, tym więcej można było ich zobaczyć, aż w końcu doszliśmy do jaskini. Była ona naszym celem, więc wyjęliśmy latarki z plecaka i weszliśmy ostrożnie do środka. Gdyby nie latarki, musielibyśmy się przedzierać przez egipskie ciemności i nie widzielibyśmy wszystkiego tak dobrze i wyraźnie. Nagle Henryk ze zdziwieniem powiedział:

– Widzisz ten napis? Co to znaczy?

Przeczytałem go ze stoickim spokojem:

„Ora pro me, Deus”

Po chwili zastanowienia stwierdziłem, że sentencja jest po łacinie i oznacza: „Módl się za mną, Boże”.

– Czyżby to duch klechy napisał? – spytał z przerażeniem mój kompan.

– Być może – odpowiedziałem, po czym dodałem – Może to do tej jaskini uciekł ksiądz ze skórą kobiety?

Po dokładniejszym przeszukaniu jaskini odkryliśmy na stropie kolejny szokujący napis:

„Beati qui ad aliquid quod sit ex pelle”. Poczuliśmy dreszcze i wielki strach. Chcieliśmy stamtąd uciec! I to jak najszybciej. Zaczęliśmy biec, ile mieliśmy sił w nogach. Podczas tej ucieczki widziałem coś kątem oka. To musiał być on – klecha ze skórą.

Gdy dobiegliśmy do obozu, zauważyliśmy, że Józef z Jarkiem siedzieli już przy palenisku. W oczach mieli niepewność oraz zwątpienie w to, co robimy. Ja powoli też zaczynałem to odczuwać. Chwilę później zaczęli mi opowiadać o jaskini i dziwnym napisie:

“Qui hoc solum mihi cognatum,
blasphemamur, et bonam famam malediceret jactum
Questus tergum Christianis sacra
Ut in sacris, et accersi
Cecidit“

Wytłumaczyłem kompanom, co te słowa oznaczają oraz opowiedziałem im o napisach w jaskini, którą spenetrowałem wraz z Henrykiem. Odbyliśmy intensywną i długą dyskusję na temat dzisiejszych zdarzeń, aż w końcu rozeszliśmy się do swoich namiotów, aby wypaść się przed dniem jutrzejszym. Usnąłem jak kamień. Obudził mnie w środku nocy straszliwy wrzask. Czym prędzej wygramoliłem się z namiotu i zobaczyłem stojącego obok Józefa i Henryka. Wrzeszczeli wniebogłosy.

– Co tu się stało, do cholery! – krzyknąłem w ich stronę.

– Zobacz na Jarka, a dokładniej na to, co z niego zostało! – odpowiedział przerażony Józef.

Podszedłem bliżej namiotu kolegi – był otwarty, a widok, jaki ujrzałem w środku, był makabryczny. Nogi Jarka były wyrwane i ułożone w kształt krzyża świętego. Jego ciało leżało ze złożonymi rękoma, umieszczonymi w kierunku krzyża wykonanego z jego własnych nóg. Co za chora, nienormalna osoba mogła zrobić coś takiego!? W środku namiotu nad krzyżem widniał napis: „Ave Maria”.

Po dłuższej chwili przyglądania się tej obrzydliwej scenie zwymiotowałem obok namiotu.

– Co robimy teraz? – spytał ze strachem w oczach Henryk.

– Jak to, kurwa, co? – krzyknął Józef. – Musimy znaleźć szaleńca, który zrobił to Jarkowi!

– Spokojnie, nie możemy działać pochopnie. Musimy być ostrożni, nie wiemy, z czym mamy do czynienia! – powiedziałem, starając się zachować spokój.

– Dobra! To co robimy!?! – spytał Henryk.

– Pójdziemy spać, a rano pochowamy Jarka i poszukamy jakichś śladów prowadzących do sprawcy.

Po tych słowach poszedłem do swojego namiotu, na próżno próbując zapomnieć o sytuacji, jaka przydarzyła się naszej grupie. Po dłuższym czasie usnąłem.

Obudziłem się dość późno jak na mnie. Szybko zauważyłem, że namiot Józefa jest

zakrwawiony. Pobiegłem do niego i jak najszybciej wszedłem do środka. Moim oczom ukazało się ciało kompana. Jego czaszka była przecięta na pół, znajdowała się w niej krew – zupełnie jakby ktoś całą krew Józefa przelał do czaszki. W środku namiotu widniał napis: „Jedzcie i pijcie z tego wszyscy!”. Zacząłem się wycofywać, aż nagle podskoczyłem. Za mną stał Henryk, który dopiero co wstał. Widząc to, co ja, również zaczął się cofać.

– Kto to robi, do cholery! – krzyknął zdesperowany.

– Nie wiem, ale ktokolwiek to jest, niech będzie potępiony na wieki! – krzyknąłem.

Po chwili naszym oczom ukazał się klecha ze skórą, która zapewne należała do legendarnej kobiety. Patrząc kątem oka na Henryka, zauważyłem, jak ten na widok tajemniczej istoty dostał ataku serca i powoli umierał. Gdybym był w jego wieku, pewnie spotkałoby mnie to samo, gdyż nigdy nie widziałem tak odrażającej kreatury. Ksiądz był cały zgniły, oczodoły miał puste, a jego dolna żuchwa ledwie trzymała się czaszki.

– Marcinie! To Ty! Tyle lat czekałem na Ciebie! – krzyknął gnijący klecha.

– Sk-k-każ mi zna-a-a-sz? – spytałem, lekko jękając się z przerażenia, jakie towarzyszyło mi, odkąd ksiądz wypowiedział moje imię.

– Twój pra-pra-pra dziadek mi to zrobił! – wyszeptał złośliwie, po czym dodał – Ty nic nie wiesz o tym!?

– Ale o czym? Jaki mój pra-pra-pra dziadek? – spytałem zdziwiony, a zarazem zaciekawiony.

– To ja ci wysłałem tajemniczą przesyłkę, która miała cię doprowadzić do tego miejsca. To ty jesteś przodkiem osoby, która rzuciła na mnie klątwę! – wypluł z siebie ksiądz.

– A więc to ty mi ją wysłałeś! Jaką klątwę? I o co chodzi z tą skórą!? – krzyknąłem z wściekłością do klechy.

– Twój przodek rzucił na mnie klątwę, ponieważ był kapłanem tutejszej parafii Kościoła Upadłego Anioła. A uczynił tak dlatego, że zabrałem skórę ich ofiary! Wiesz, czemu ta skóra była taka ważna!? Ponieważ należała do kobiety, której przodkiem była Maryja Dziewica!

Po tych słowach stanąłem jak wryty. Z przerażenia nie mogłem się ruszyć. Demoniczny klecha mówił dalej. – Tak, Maryja była jej przodkiem! Nie była dziewicą przez całe życie. Miała w późniejszych latach inne dzieci z Józefem! Teraz muszę oddać ci tę skórę, dzięki której odprawisz rytuał przywołania twojego Pana!

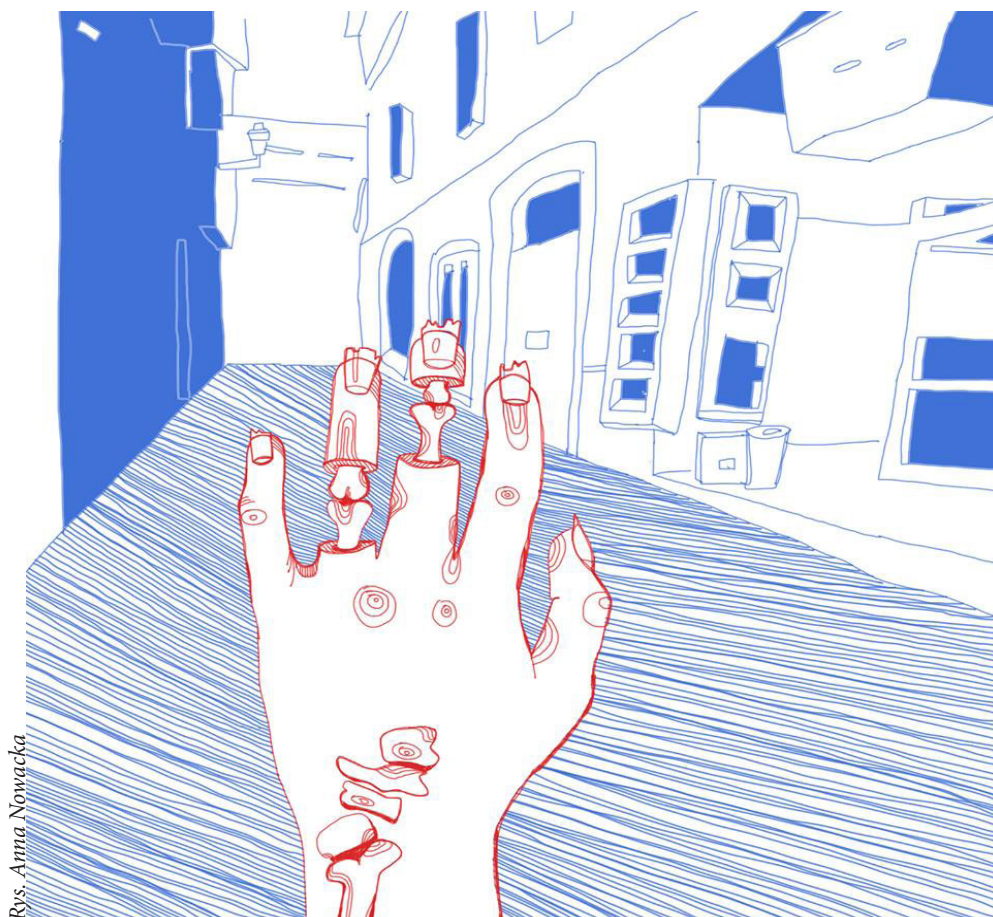
– Ale jakiego Pana!? – spytałem z trudem.

– Samego Diabła, bo twój przodek był głównym kapłanem Szatana! Przeklął mnie przez to, że zabrałem tę skórę i uciekłem w głąb lasu. Aby klątwa przestała działać, muszę dać skórę ofiary komuś, kto będzie należał do ostatnich krewnych kapłana! Więc wybór padł na ciebie! – kończąc tymi słowami, ksiądz podszedł do mnie i podał mi skórę kobiety.

– Wybacz, mój Boże, cóż zem ja uczynił! – po tych słowach ciało klechy zaczęło się

palić, aż pozostał po nim tylko popiół.

Teraz powoli zaczynałem rozumieć, co ofiarował mi ksiądz i jaka wiąże się z tym odpowiedzialność. Nie pozostało mi nic innego, jak odbudować to, co pragnął stworzyć mój przodek.



ON

Grzegorz Kopiec

Głód. Jedyne, co czuł w tym momencie, to właśnie głód. W niewyobrażalny sposób zakorzeniał się w każdym najmniejszym skrawku jego męskiego ciała.

Było ciemno, a zza okna raz po raz rozbłyskiwała łuna jaskrawego światła, której towarzyszył nieznośny huk. Mężczyzna nie potrafił zrozumieć, co może się dzieć na zewnątrz i nie obchodziło go to.

Leżał na zimnej podłodze z twarzą wtuloną w betonową posadzkę i z oczami skupionymi na przeszklonym otworze, za którym działy się te niepojęte zjawiska. Było mu wygodnie i, zdawałoby się, mógłby tak przeleżeć do kresu swego życia. Ale nie mógł. Przepęłniała go potrzeba zjedzenia czegoś, co zaspokoiłoby ten nieznośny głód.

Postać podniosła się nieco na rękach i w tym samym czasie wewnątrz pomieszczenia wypełniła kolejna fala światła. Spostrzegł, że leży w kałuży czegoś błyszczącego. Kształt plamy wskazywał, jakoby to właśnie on był jej centralnym obiektem, a sama kałuża należała do niego. Lepki płyn znalazł się teraz na jego dłoniach. Stało się to w tym samym momencie, w którym podparł swoje zdrętwiałe ciało, by postawić je na nogi. Lecz tak, jak samo istnienie czerwonej plamy, tak i zamoczone w niej ręce nie miały dla niego większego znaczenia. Jedyne, co się liczyło, to głód i potrzeba jego zaspokojenia. Nie obchodziło go nawet, że mokry kleks na szarej i brudnej betonowej podłodze garażu, w którym się obudził, wyciekł z jego boku przed niespełną godziną.

Nie było istotniejszej potrzeby od najedzenia się do syta. Nie przejmował się tym, że tapla się we własnej krwi, że w jego prawym boku brakuje około kilograma mięsa, a serce nie pompuje już ciepłej posoki. Nie zastanawiał się nawet nad tym, w jaki sposób znalazł się w tym ciemnym i zamkniętym pomieszczeniu, z jakiego powodu leżał na podłodze czy też dlaczego nie potrafi nazwać tych wszystkich otaczających go rzeczy i zjawisk. Nie czuł potrzeby znalezienia odpowiedzi na pytania, kim był jeszcze godzinę temu albo czy ma rodzinę, pracę i dom. Wszystko wydawało niczym w świetle tego, co było teraz najważniejsze – konieczność uspokojenia tego cholernego wiercenia w brzuchu.

Kiedy stanął na nogach, jego ciało przyjęło nienaturalną dla człowieka pozę. Z powodu brakującej sporej części poniżej żeber jego tułów, nie mając w tym miejscu podparcia, przechylił się znacznie w prawo i nieco w przód. Ręce, jakby bez życia, zwisały wzdłuż tułowia, a głowa pod wpływem swego ciężaru opadła do przodu, kierując ślepią mężczyzny w podłogę. Odruchowo złapał lewą ręką garść włosów i podciągnął zwieńczenie swojego ciała, przekręcając je z impetem. Kości karku zagruchotały i głowa z otwartą szeroko szczęką zaklinowała się w pozycji zbliżonej do poprawnej. Najważniejsze było to, że oczy skierowane były przed siebie.

Głód stał się nie do zniesienia, a kiedy osiągnął swoje apogeum, postać zrozumiała, że nie wie, czym powinna go nasycić. Nie wiedząc, co jest jadalne, a co nie, rozejrzała się wokół siebie. Zza okna wkradł się kolejny blask, oświetlając to, co znajdowało się na wysokości bioder mężczyzny. Była to długa i gładka powierzchnia, na której leżała niezidentyfikowana liczba przedmiotów. Powiódł wzrokiem po każdym, lecz nie potrafił ich nazwać. Widział coś, w czym inny obserwator rozpoznałby: młotek, kilka kluczy nasadowych, parę metrów sznurka, dwie puszkę (jedna z gwoździami, druga wypełniona olejem silnikowym), niezliczoną liczbę śrubokrętów. Dwa przedmioty wzbudziły największe zainteresowanie obserwatora: przegniłe jabłko i szczątki świeżo zabitego pająka.

W jednej chwili głodny odrzucił wszystko poza tymi dwoma obiektami. Prawą ręką wykonał niezgrabny zamach i w nieudolny, acz skuteczny sposób pochwycił okrągły przedmiot, natychmiast wciskając go do ust. Mężczyzna zrozumiał swój błąd, kiedy tylko odrobina pokarmu dostała się do przełyku. Wredny głód skarcił go za dokonanie nieodpowiedniego wyboru i zwrócił zawartość całego żołądka, oblewając płaską powierzchnię warsztatowego stolika wymiocinami z niestrawionego jabłka, resztek obiadu z poprzed-

niego życia i żółci scalającej wszystko w jedną breję.

Nadeszła pora na drugi przedmiot. Karykaturalny, niewielki i kilkakrotnie mniejszy od ugryzionego jabłka. Wśród pozostałych leżących wokół niego, emanował niezwykle delikatną poświatą. Mężczyzna sięgnął po poskręcane truchło zatopione teraz w rzygowinach. Utaplana wcześniej we krwi a teraz w żółci dłoń ujęła zwłoki i wszystko, co zaczerpnęła, umieściła w ustach. Tym razem żołądek nie eksplodował, a jedynie wstrząsnęły nim konwulsje.

Nagle spożywający posiłek zobaczył, że coś niezwykle szybkiego przemknęło wzdłuż ściany znajdującej się po przeciwnej stronie stołu. Najniezwyklejsze było nie to, że coś się poruszyło, ale to, jaką aurą było otoczone. Mężczyzna wiedział już, że im jaśniejsza otoczka, tym wartościowsze pożywienie. Przemykający pod ścianą posiłek błyszczał w ciemnym jak dno studni garażu, a obserwator obrał sobie za punkt honoru zdobycie tego jedzenia.

Natychmiast udał się w kierunku nowego, drżącego teraz w ciasnym rogu celu. Po przebiegnięciu kilku metrów, przedmiot niewiele większy od dłoni zatrzymał się, jakby spotkał na swej drodze przeszkodę nie do pokonania i zastygł w miejscu. Kiedy tak dygotał, przekonany o swojej niewidzialności, łowca ruszył w jego kierunku. Lewa noga powędrowała do przodu bez większych przeszkód. Problem pojawił się przy próbie wyprowadzenia prawej, która została teraz z tyłu i zamiast przemieścić się w przód, tylko delikatnie drgnęła. Jej właściciel wychylił się i nieposłuszna dotychczas noga powlokła się za nim. Gdy obie znalazły się już na tyle blisko siebie – tę, którą potrafił kontrolować, ponownie zmusił do kroku. Po kilku takich cyklach znalazł się przy drżącym osobniku. Zszedł do parteru, aby sięgnąć po zdobycz, w tym samym jednak momencie ofiara, zdając sobie sprawę z obecności kogoś większego, ruszyła przed siebie. Miała do wyboru dwa światy; obrała jednak zły kierunek i po chwili była martwa od uderzenia ciężko opadającej ręki przeciwnika.

Aura nadal lśniła. Połamany kręgosłup spowodował, że umykający przed niechybną śmiercią gryzoń stracił czucie poniżej głowy. Miotał tylko agresywnym pyskiem na lewo i prawo, niebezpiecznie sycząc i człapiąc zębami w złowieszczym rytmie. Jego przeciwnika to jednak nie ruszało. Złapał przetrącone ciało w obie dłonie, pomiędzy palców zwisał potwornie długi ogon. Lecz tak jak łapki, ogon był teraz poza kontrolą tej niezwykle wściekłej i owłosionej główki.

Trzymane w dłoniach pożywienie było miłe w dotyku. Emanowało ciepłem, które przenikało do zimnych dłoni. Główka zwierzęcia kasała po palcach swego oprawcę, lecz on nie czuł ani ugryzień, ani związanego z nimi bólu. Przycisnął unoszący się i opadający brzuch do ust i natychmiast poczuł na nich delikatne uderzenia bijącego jeszcze serca. Gdyby wiedział, co to uśmiech, przywołałby go na twarz. Jeśli instynkt nie kazałby mu się skupić jedynie na zaspokajaniu głodu, wtedy zrozumiałby, że ten bijący wewnętrzny organ jest wyznacznikiem dobra.

Mężczyzna rozchylił szeroko usta, a ostre jak gilotyny zęby wgryzły się w mały

organizm. Przegryzały po kolei skórę pokrytą gęstym, szarym futrem, wypełnione słodkawym płynem żyły oraz niezwykle ukrwione w wyniku powstałej adrenaliny mięśnie. Krew trysnęła, obryzgując twarz. Konający szczur jęknął przeraźliwie, po czym wykonał ostatni wydech i, kiedy oprawca odgryzł kawał jego puszystego ciała, zdechł. Gorąca krew wypełniała usta i ściekała po policzkach. Żołądek miło mruczał, trawiąc to, co mu podano. I kiedy uczta dobiegła końca, a rozszarpane zwłoki bez cienia aury spoczęły samotnie w kącie, głód odezwał się ponownie.

Jakiś zwierzęcy instynkt podpowiadał mężczyźnie, że w tym miejscu niczego już nie znajdzie i musi opuścić otaczający go ze wszystkich stron azyl. Coś sugerowało, aby udał się tam, gdzie raz po raz rozświetla się przestrzeń nieba i skąd dobiegają niezrozumiałe dla niego dźwięki. W jednej ze ścian dostrzegł szczelinę, przez którą do środka wpadał snop szarego światła. Udał się w jej kierunku, wlokąc za sobą bezużyteczną nogę. Kiedy doszedł do końca pomieszczenia, nie zatrzymując się, naparł na przeszkodę. Ta rozchyliła się jedną częścią w lewą stronę, a drugą w prawą, poszerzając przejście do innego, zewnętrznego świata.

Stał teraz dokładnie na granicy miejsca swych narodzin i krainy, w której rozgrywały się niezwykle sceny. Wśród wrzasków, jęków i zawodzenia, wśród strzałów i wybuchów, wśród ciemności i losowo pojawiającego się blasku zobaczył i usłyszał hordy sobie podobnych. Dziesiątki dwunożnych tworów z charakterystyczną mu gracją poruszały się w jednym kierunku i wydawały z siebie bliźniacze odgłosy.

— Hhrrraarr, hrrraarr, hrrraarr... — słyszał identyczne jak swoje charczenie.

To wspólne przesłanie, które wydierało się również z jego własnego wnętrza, oznaczało jedno: „jeść! jeść! jeść!”. Było to pierwsze odczucie, jakiego doświadczył po narodzinach. Teraz zobaczył, że nie jest z tym sam – jest wielu tak samo cierpiących jak on i zmierzających w nieokreślonym kierunku. Wszyscy jak jeden mąż podążali w tę samą stronę, ich wzrok był skupiony na czymś, co znajdowało się daleko przed nimi. Nie widział, ku czemu tak gorliwie zmierzają. Widok zasłaniało mu jedno ze skrzydeł bramy, które chwilę wcześniej pchnął, aby wydostać się z zamknięcia.

Postąpił dwa kroki przed siebie i wtedy, kiedy minął drewnianą przeszkodę, niemal oślepl pod wpływem zaobserwowanego fenomenu. Nie dalej niż kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym stał, z wolna, lecz bardzo chaotycznie, poruszało się kilka obiektów. Były one interesujące tylko z jednego powodu: z powodu aury, jaką emanowały. Była ona czymś niemożliwym do opisanego. Spożyty niedawno posiłek w obliczu tego lśnienia był niczym przygasający żar domowego ogniska na przeciw pożaru dziesięciu hektarów lasu. I jeśli przez tamten blask przemawiało cichutkie „zjedz mnie”, to zjawisko, które teraz malowało się przed nim, wydierało się w niebogłosy i odbijało się echem w każdej komórce jego gnijącego umysłu: „ZJEDZ MNIE, ZEŻRYJ! JESTEM TWOIM ŻARCIEM! JEEEDZ! ŻRYYYJ!”.

Z miejsca, w kierunku którego zmierzała rozpadająca się z każdym krokiem sfora, dobiegło kilka głośnych dźwięków – huknięć i świstów – których nie potrafił albo nie

chciał określić. A może po prostu nie zwracał sobie nimi głowy. Nie mógł być jednak zupełnie obojętny, ponieważ jeden ze świszczących obiektów zbliżał się do niego. Zobaczył nadlatującą z ogromną prędkością niewielką rzecz. Nie mając rozwiniętego instynktu, który mógłby mu podpowiedzieć, że teraz powinien się ukryć, stał i patrzył. Świst był coraz głośniejszy, a lot przedmiotu obniżał się z każdym metrem. Kiedy znalazł się już kilka kroków od zapatrzonego weń celu, był nie wyżej niż na wysokości szarych, pustych oczu. Chwilę później gruchnął w podłoże kilka metrów dalej, obsypując nogawki spodni mężczyzny suchą ziemią. Obiekt zapłonął małym światełkiem w kolorze, który pokrywał teraz jego dłonie – w kolorze krwi. Z wnętrza zaczęło wydobywać się ciche i świdrujące pikanie, które po chwili zakończyło się potężną eksplozją i rzuciło bezwładnym ciałem przybysza na uchylone drewniane drzwi. Odbił się od nich i upadł na ziemię. Był cały. Wybuch nie wyrządził mu żadnej krzywdy, ale w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą poruszało się kilku mu podobnych, było pusto. Wędrowcy, którzy znajdowali się najbliżej, zniknęli. Nieco dalej grupka ocalałych podążała niestrudzenie do celu. Wstał i znów opętała go nieznośna żądza zaspokojenia głodu. Wyszedł ponownie zza wrót i dołączył do przemieszczającej się powoli zgrai dwunożnych. Byli tacy jak on. Jedni wyżsi, drudzy niżsi, inni wolniejsi, jeszcze inni poruszali się szybciej od pozostałych. Choć różniło ich tak wiele, czuł, że są mu bliscy, że tylko trzymając się ich, będzie w stanie zaspokoić męczący go głód. W końcu wszyscy zmierzali w kierunku posiłku – walczącego z nimi i nie chcącego się poddać bez walki, ale zawsze posiłku.

Jak okiem sięgnąć zewsząd napływały nowe gwardie głodnych. Nie był w stanie określić, ilu mogło ich być w obecnym zestawieniu, ale widok kroczących i wydzierających się tych specyficznych form życia zagłuszał wszelkie inne dźwięki.

Dołączył do jednego z wielu mu podobnych, który wydawał się iść podobnym tempem (w poprzednim życiu mogliby się zaprzyjaźnić) i zmierzali razem prawie pod same barykady broniącego się jedzenia, powtarzając tę samą mantrę, co wszyscy wokół: „jeeeść!”.

Do emanującego aurą pokarmu pozostało mniej niż połowa początkowej drogi. W tym czasie mężczyzna i jego kompan kilka razy upadli. Włokąc się przed siebie, ze wzrokiem skupionym na przeznaczeniu, nie zwracali w ogóle uwagi na to, co leży pod ich nogami. Raz po raz potykali się o szczątki ciał rozrzuconych na ziemi w pokracznych pozach. To były zwłoki ich towarzyszy – tych, z którymi powinni się solidaryzować, jednak przez wypełniający ich bezkresnie głód nie potrafili myśleć o niczym innym. Nic, tylko głód i głód.

Z każdym kolejnym krokiem otaczające go wcześniej dźwięki nasilały się jeden za drugim. Głośniejsze były te odgłosy, których nie potrafił określić – wydawane przez przewracających się wędrowców, którzy już nie wstawali, a także przez wszystkich wokół, wołających o żywność.

— Hhrrraarr, hhrrraarr, hhrrraarr.

Gdyby mógł o tym pomyśleć, zastanowiłby się pewnie, dlaczego to robią, dlaczego będąc już tak blisko jedzenia, postanawiają odpuścić i kładą się na ziemi. Z drugiej strony mógłby pomyśleć, że taka ilość otoczonych aurą nie starczy na wyżywienie ich wszystkich, więc może to i lepiej. Gdyby tylko mógł myśleć. Jego umysł odbierał te wszystkie bodźce, ale w żaden sposób ich nie przetwarzał, rejestrował czy analizował. Były to dla niego zdarzenia, które nie wpływały na zaspokojenie głodu, w związku z czym nie miały w ogóle znaczenia. Wtem jego kompan przewrócił się, ciągnąc za sobą towarzysza.

Ten pierwszy już się nie podniósł, a on musiał dalszą drogę pokonać w pojedynkę z resztkami lepkiego mózgu swojego druha, rozpryskanymi na twarzy i włosach.

Tłum nieumarłych napierał na żwawo przemieszczające się z miejsca na miejsce pożywienie, którego budowa była analogiczna do rzeszy głodnych, lecz z jedną zasadniczą różnicą – jedzenie wydzielalo tę niezwykłą poświatę, która oznaczała zaspokojenie głodu. Tymczasem od strony przeciwnika nadlatywały przeróżne przedmioty. Jedne, które widział już wcześniej pod garażem (teraz eksplodowały znacznie dalej od niego), inne całkiem niewidoczne, lecz słyszalne i wydające z siebie wyraźne świszczanie, przelatujące tuż przy uchu. Zauważył, że kiedy świst kończy się na jego współtowarzyszach, wtedy tamci rezygnują z dalszej wędrówki. U jednych powstawały ledwie widoczne otwory, inni z kolei padali na ziemię, kiedy z ich głów nie dałoby się poskładać już całej czaszki.

Odległość, jaka dzieliła teraz wędrowca od ukojenia wygłodzonego żołądka, była może trzy razy mniejsza od początkowej. Z tego miejsca widział niezorganizowane działania swojego celu. Dwójka postaci stała na niezidentyfikowanej platformie, wydającej z siebie głośny warkot i wypuszczającej chmurę siwawego dymu. Jeden z osobników trzymał przedmiot, z którego wylatywały te świszczące, niewidzialne obiekty. Natomiast drugi dzierżył coś większego i to ono siało wkoło spustoszenie. Za nimi stał jakiś budynek. Był sporo większy od tego, w którym obudził się wędrowiec, ale nie to było najważniejsze: zobaczył, że w przeźroczyстых otworach budynku siedziało kilku wrogo nastawionych przeciwników, a z przedmiotów w ich rękach sypały się dziesiątkami niezidentyfikowane latające obiekty, świszczące z każdej strony. Jednak w przeciwieństwie do przedmiotu, który stał na podwyższeniu, ich pociski wystrzeliwane były niezwykle rzadko. Właściwie zdawało się, że każdy strzał odpowiadał krokowi mężczyzny: krok i świst, krok i świst.

Nagle coś wstrząsnęło truposzem, że poczuł przedziwne łaskotanie przeplatające się z intensywnym mrowieniem. Pochylił się i spojrział na siebie. Na środku brzucha, tuż powyżej wyżartego ogromnego płatu mięsa, dostrzegł sporych rozmiarów dziurę. Otwór przechodził na wylot, a z jednej i drugiej strony zaczęła wyciekać stróżka gęstej białoczerwonej cieczy. Gnijące ciało z resztkami stygnącej krwi w chwili postrzału wypluło z siebie jej pozostałości, mieszające się z ogromnymi ilościami białej ropy. Tak skomponowana maź spływała po guzikach poszarpanej czarnej marynarki na błyszczące niegdyś buty. Przez chwilę monstrum nie wiedziało, co się właśnie stało, i patrzyło bez celu na tworzące się krople. Doświadczył czegoś, czego nie czuł wcześniej. Nie potrafił tego opisać, ale odniósł wrażenie, jakby głód, który był poniekąd wyznacznikiem jego postępowania,

nia, przeobraził się ze zwykłego, domagającego się nakarmienia dzieciaka w dziką bestię żądną krwi. Zwierzę, które nie zadowoli się byle padliną i które musi dostać w swe łapska tego, który uczynił mu taką krzywdę. Ranny mężczyzna podniósł wzrok i zawarczał złowieszczo. Dojrzał swego oprawcę – był w budynku i patrzył teraz w martwe, głęboko osadzone oczy trafionego celu. Ten postanowił działać, choć nie była to kwestia postanowienia, raczej wewnętrznego popędu. To było coś, co nie pozwalało szacować potencjalnych korzyści, bądź strat. Liczyło się tylko to, że rozdrażniony do granic cierpliwości głód żądał nakarmienia się plugawym, emanującym poświatą oprawcą.

Ranny zauważył, że wokół podwyższenia i tej dwójki na nim zebrało się już tak wielu głodnych. Każdy kolejny, dochodzący do nich pozostawał z tyłu, wymachując rękoma i próbując wspiąć się jak najwyżej po głowach swoich towarzyszy, byle tylko sięgnąć którejkolwiek z ofiar. Każdy z nich ryczał zmęczony dojmującym głodem i prawie każdy osuwał się na ziemię po salwie świszczących pocisków, które przemaszerowały po ich wyszczerzonych gębach. Wokół ryczącego podestu leżało już całe mrowie trupów, którzy jeszcze przed chwilą daliby się poćwiartować, byle móc zagłuszyć torturujące ich łaknienie.

Pokarm na platformie miał już swoją rzeszę adoratorów, a on kierowany potrzebą zemsty skupił się na tym jednym, który chwilę wcześniej doprowadził jego wewnętrzny głos do wściekłości. Wyrzucił ręce przed siebie, a następnie posłał lewą nogę do przodu, po czym podciągnął drugą, i w ten sposób rozpoczął swą drogę do zbawiennego zaspokojenia żądry.

W jego kierunku poleciało jeszcze kilka pojedynczych pocisków, żaden jednak nie osiągnął celu, który nadal zmierzał ku oszklonemu otworowi w ścianie.

Kiedy mężczyzna z bronią zauważył ten manewr, wymierzył z opartego na parapiecie rewolweru centralnie między oczy zbliżającego się w jego kierunku nieumarłego. Odległość była jednak na tyle duża, że miał obawy co do skuteczności swojego strzału. Postanowił poczekać, aż przedziurawiony po jego pierwszym strzale truposz nieco się zbliży.

Ich oczy w końcu się spotkały. Z jednej strony puste i martwe, z drugiej przepełnione chęcią życia i przeogromnego strachu.

Ranny, kiedy zbliżał się do budynku, zauważył jedną rzecz: jego napastnik nie porywał w jego kierunku świszczących pocisków. Mimo to ślepa furia popychała go na przód. Niemal czuł jak ostre zęby wgryzają się w soczyste ciało, a smak mięsa rozchodzi się po podniebieniu, jak ciepła i tryskająca ciecz wypełnia jego usta, wylewając się kącikami na brodę i gasząc morderczy głód. Nie potrafił się doczekać tej najznamienitszej uczy, która miała rozegrać się już za chwilę. Zdawało się, że jego pozbawiona emocji twarz wykrzywiła usta w dziwacznym grymasie imitującym uśmiech. Szedł dalej.

Dystans do posiłku zmniejszył się na tyle, że wystarczyło zrobić jeszcze trzy, może

cztery kroki. Ciało jego przyszej ofiary niebezpiecznie się napięło, aż w końcu usłyszał głuchy dźwięk.

Klik.

Zrobił krok, ale nadal nie działo się nic niezwykłego, jego nieznacznie ukryty napastnik nie wykonywał żadnych ruchów, które mogłyby go oszczędzić przed śmiertelnym atakiem.

Klik, klik.

Gdy nieumarty był już wystarczająco blisko, zamachnął się prawą ręką. Powietrze przeszył szum nadciągającego ramienia. Dźwięk ustał z chwilą, kiedy jego palce wpiły się we włosy ofiary, a ta krzyknęła coś niezrozumiałego. Uchwycona zdobycz zaczęła się szamotać, próbując oderwać martwą i zdrętwiałą rękę. Napastnik nie zamierzał puszczać. Instynktownie wyrzucił przed siebie drugą rękę, by mocniej złapać przeciwnika. Dłonie wplecione w spocone kołtuny utwierdzały go w przekonaniu, że trzymana głowa teraz należy do niego. Ofiara była silna, temu nie mógł zaprzeczyć. Ciężko było utrzymać miotające się ciało, dlatego też spróbował przyciągnąć je do siebie. Wtedy pochwycony zaangażował całą swoją siłę i rzucił się z impetem do tyłu. Stopy łaknącego pożywienia oderwały się od ziemi, a trzymana ofiara ponownie silnie szarpnęła. Ten ruch okazał się dostatecznie silny i skuteczny. Dłonie ześlizgnęły się z kurczowo trzymanej głowy. W zacisniętych wciąż rękach połyskiwały gęste kępki ciemnych kłaków.

Moc, jaką jego ofiara włożyła w ostatni swój ruch, wciągnęła truposza do budynku.

– RATUNKU!!! NIECH MI KTOŚ POMOŻE! – wydierał się opętańczo, trzymając się za głowę w tym miejscu, w którym jeszcze przed chwilą miał gęste włosy. Spośród palców łowcy wyciekała hipnotyzująca ciecz, wyrażająca dwa słowa „zjedz mnie”. Nie pozostał obojętny na takie zaproszenie.

Kiedy znalazł się w zamkniętym pomieszczeniu wraz ze swoją ofiarą, podniósł się niezdarnie na nogi. Głowa opadła mu na pierś. Czym prędzej wykonał tę samą operację co wcześniej, szarpiąc ją do góry, przetrącając kręgi i mocując ją stabilnie na swoje miejsce. Pomieszczenie wypełniła salwa przeraźliwych dźwięków: gruchot łamanych kości oraz targanych ścięgien i mięśni.

Zaatakowany osobnik, korzystając z okazji, odsunął się nieznacznie do tyłu, nie przestając śledzić każdego ruchu swego napastnika. Lecz gdy się zorientował, że on ponownie na niego patrzy i przymierza się do ataku, odwrócił się błyskawicznie i wyrwał przed siebie. Napastnik okazał się jednak zdecydowanie szybszy. Pragnienie i żądza dodawały siły gnijącemu ciału. Pozostawiona w tyle noga człowieka już była w ręku oprawcy.

– PIOTREK! KURWA! POMÓŻ MI! ON MNIE DORWAŁ! PIOTREK! AGATA! – Uchwycona zwierzyna wrzeszczała niezrozumiale i wierzgała uwięzioną kończyną.

Jedno z kopnięć sięgnęło twarzy nieumarłego i trafiło centralnie w nos, rozkwaszając go niemal na pół. Chrząstka pękła, a jej ostre jak brzytwa brzegi rozkroiły płatki nosa, na których od razu pojawiła się biało-żółta ropa. On się jednak tym nie przejął – najistotniejsze było to, aby uchwycone bydlę pozwoliło mu się wreszcie skonsumować.

Ofiara rzucała się nieprzerwanie, a oprawca systematycznie wdrapywał się po leżącym na podłodze ciele. Był już na wysokości brzucha, a z jego ust wydobywało się bezustanne „jeeeść, jeeeeeeść!”. W uszach przyszłej ofiary rozbrzmiało charczenie duszącego się wisielca.

Zdobycz wierzgała i próbowała zrzucić z siebie napastnika. Zmasakrowana twarz nieumartego latała jak chorągiew na wietrze, on jednak nie ustępował i stale dążył do celu.

Wtem, kiedy dla pochwyconego trofeum nie powinno być już żadnego ratunku, w przeciwnym rogu pomieszczenia huknęły otwierane drzwi. Stała w nich kolejna, również intensywnie fosforyzująca, dwunożna postać. Była niższa i drobniejsza w posturze, choć była zapewne równie dobrym kąskiem.

– Janek! – wydała z siebie obco brzmiące dźwięki.

Na co leżący pod nim łup odpowiedział podobnie:

– Załatw go! Dłużej nie wytrzymam.

Nowa postać podbiegła do nich i sięgnawszy po leżący w połowie drogi przedmiot, podniosła go i wymierzyła w kierunku napastnika. Pomieszczenie po raz kolejny wypełniło głucho szczęknięcie. Klik, klik.

– Nie ma nabożów, weź coś innego!

Nieznośnie głodny zawisł nad głową swej zdobyczy, a krople poczerwieniałej ropy skapywały z wyszczerzonej gęby wprost w otwarte usta i w prerażone oczy ofiary. Gęsta zawiesina wpłynęła głęboko do przetyku zdobyczy i powodowała konwulsyjne wierzgnięcie. Z wnętrza pochwyconego wytrysnęła salwa wymiocin i obryzgała twarz wiśniętego nad nim truposza.

Kwaśny odór momentalnie wypełnił pomieszczenie.

Sponiewierana zwierzyna przekreśliła głowę w prawo i wydusiła z siebie kilka niewytłumaczalnych fraz.

– To będzie dobre. Załatw go tym.

Poczwarą, nie czekając na dalszy przebieg wydarzeń, wyszczerzyła zęby i warknęła, po czym wbiła się z impetem w pulsującą i miękką tkankę pomiędzy szyją a ramieniem Janka. Zatopiła swe spragnione kły, aż trysnęła gorąca posoka. Jego zdobycz zawrzeszczała bez opamiętania, ciskając się nieporadnie, gdy zęby truposza pokonywały kolejne milimetry, przegryzały i rwały warstwy żywego mięsa.

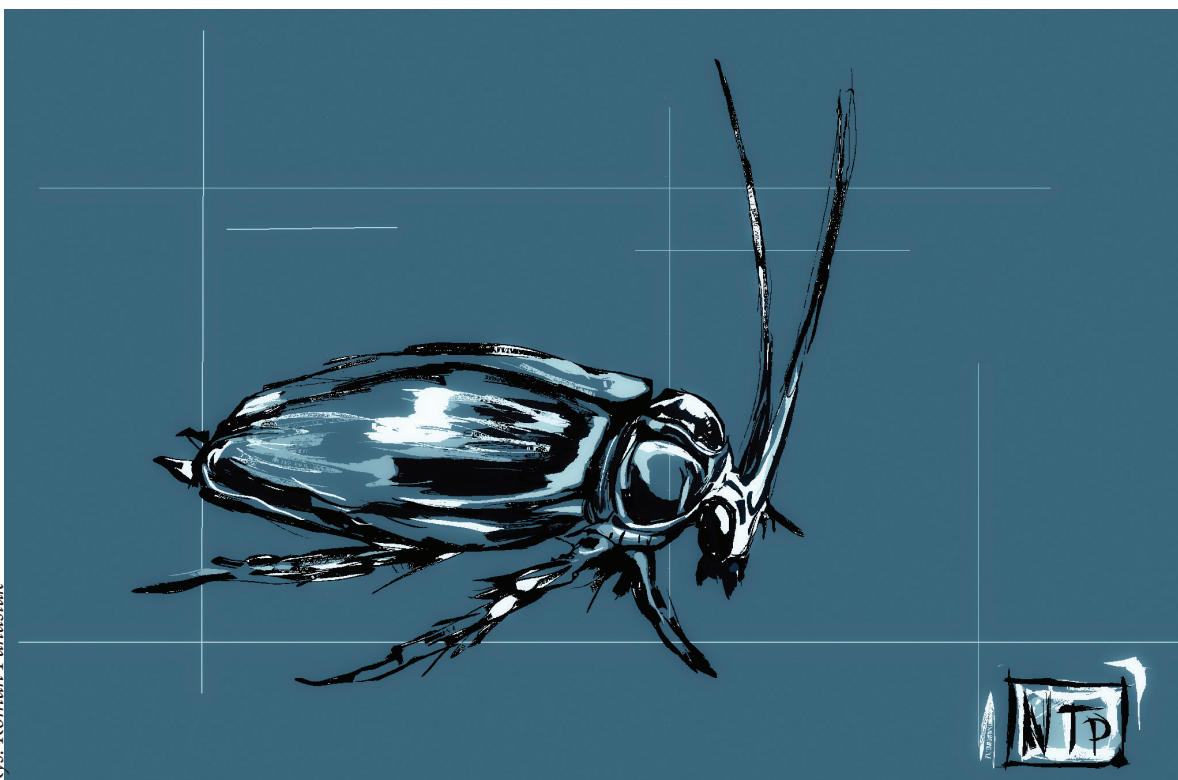
Nieumarły zacisnął ostre zęby na pompującym jeszcze krew kawałku ciała i wytargał je z wściekłością, rozszarpując tym samym ciało leżącej pod nim ofiary.

Odrzucił głowę z ustami pełnymi najznamienitszych delicji i warknął z rozkoszy, jakiej dotychczas nie zaznał. Jego wzrok mimowolnie popędził w kierunku zostawionego samopas dwunoga. Na początku nie zrozumiał, co widzi. Postać trzymała w ręku coś długiego, jednocześnie się tym zamachując. Sekundę później powietrze wypełnił krystalicznie czysty świst. To, co truposz zdołał zobaczyć, było odbijającym się na stalowym ostrzu refleksem jasnego światła. Głowa potoczyła się pod okno, którym dostał się do środka,

a ciało upadło bezwładnie na leżącego z rozszarpaną aortą mężczyznę.

Kobieta wypuściła sztychówkę z rąk i podbiegła do swojego męża. Zwłokła leżące na nim podwójnie już martwe ciało i patrząc na tryskającą krew z barku Janka, pochyliła się i przytuliła. Jej oczy wypełniły się łzami.

Leżąca pod oknem odcięta głowa spoczywała na jednym z boków, patrząc z nie-
małym zainteresowaniem na zachodzące wydarzenia. Wciąż trapiło ją jedno pragnienie – głód.



PROMOCJA

Michał Wzgarda

Zapięła biały, sportowy biustonosz, założyła na niego tanią, czarną bluzkę i stała przed lustrem jeszcze przez dłuższą chwilę. Spostrzegła sporą dziurę w czarnym materiale, w pobliżu barku. Bezczelny biały prześwit. Nie miała bielizny innego rodzaju. Ostatnie koronki, jakie pamiętała, zdejmował z niej dwadzieścia lat temu w czasie nocy poślubnej. Kupiła ten seksowny czarno-czerwony komplecik na pierwszych samodzielnych zakupach w ekskluzywnym sklepie. Matka nic o tym nie wiedziała. Córka ukrywała przed nią wiele rzeczy. Tylko dzięki temu mogła jakoś wytrzymać ze starą dewotką, która najchętniej zarzuciłaby na nią wór pokutny i zamknęła ją w klasztorze. Nienawidziła tej zrzędy za to, że w jej cieniu nie mogła być sobą, a jednocześnie kochała ją za bardzo, żeby się kiedykolwiek sprzeciwić. Nie kłamała. bo przecież kłamstwo jest ciężkim grzechem. Jak nauczał Chrystus:

„Prawda was wyzwoli”. Lubiła się oszukiwać, że niemówienie całej prawdy to przecież nie to samo. Gdyby stara poznała całą prawdę, ta zabiłaby ją zamiast wyzwolić. Cały brud i występki tego świata – kara boska za nieposłuszeństwo i słabość pierwszych ludzi – był dla niej wystarczającym cierpieniem. Gdyby dowiedziała się, że jej cicha, skromna, pełna bojaźni bożej córeczka zamiast uczyć się do matury z koleżanką ze szkółki niedzielnej pije piwo z kolegami z klasy, nie wytrzymałaby. Szlag od razu by jej nie trafił. Najpierw zrobiłaby wszystko, żeby jeszcze bardziej zgnębić swoje jedyne dziecko rozpaczliwymi próbami wypędzenia z niego złego ducha. Wszechmogący, dobry Pan uwolnił ją od matki pięć lat temu, a jej wciąż wydawało się, że to babsko nadal stoi za jej plecami i, przyglądając się każdemu jej życiowemu wyborowi, kręci z niedowierzaniem swoim siwym łbem.

Była bardzo szczęśliwa, kiedy Zbyszek powiedział jej po weselu, że nie muszą u niej nocować. Wynajął na tę jedną, jedyną noc przytulny pokój w małym, zacisznym hoteliku za miastem. Ten spontaniczny, romantyczny zryw był dla niej najlepszym dowodem jego miłości. Wziął ją całą za żonę. W posagu wniosła nerwowość, huśtawki nastrojów, nadwagę i hektolitry łez wzruszenia, którymi nasączała stronice tandetnych harlekinów w broszurowej oprawie, kupowanych na promocjach w supermarkecie. Przysięgał wspierać ją na dobre i złe, zatem w pakiecie poślubił także jej matkę. Tej nocy jako jedna z setek tysięcy par najszczęśliwszych na świecie nowożeńców śnili o nadziei na piękną, wspólną przyszłość, bo przecież, co by się nie działo, mieli siebie nawzajem. Reszta straciła znaczenie. Zanim zapadli w sen, kochali się długo i namiętnie po raz pierwszy i ostatni.

Ściany w mieszkaniu „kochanej teściowej” były za cienkie, aby można było bez skrępowania świętować miesiąc miodowy. Żeby w tych warunkach mogli spokojnie oddawać się miłosnym igraszkom, musieliby wygłuszyć cały pokój. „Mamusia” nie pozwalała nawet przestawić fotela, co dopiero mówić o oklejaniu karton-gipsu gąbką akustyczną. Wszystkie ich akty płciowe odbywały się zgodnie z nauką Kościoła. Cichutko, szybko i pod kołderką, w myśl zasady: wejść, dojdź, wyjdź. Po roku Zbyszek zaczął źle sypiać. Strasznie się wiercił. Męczyła go nadkwasota – bonus do mamusinych kolacyjek. Budziła się wtedy i wtulała w niego mocniej, a kiedy ją obejmował, upewniała się, że znosi to wszystko tak dzielnie, ponieważ nadal bardzo ją kocha. Kiedy rankiem w ósmą rocznicę ślubu stał przed lustrem, oglądając swoją zmęczoną twarz i zakola, pomyślał, że gdyby po pierwszym przesolonym, tłustym schaboszczaku, jakiego zaserwowała mu teściowa, wszczął awanturę i zabił ją w afekcie tłuczkiem do mięsa, dziś wychodziłby na wolność.

Musiały minąć jeszcze dwa lata, zanim pojawiła się nadzieja na poprawę warunków życia. Któregoś dnia Zbyszek spotkał starego kumpla z wojska, który, jak się okazało, był właścicielem całkiem niezłym prosperującego, średniego przedsiębiorstwa. Zbyszek zawsze powtarzał, że nie ma nic trwalszego od prawdziwej, męskiej przyjaźni. Nie mylił się. Stary kumpel uczynił go swoim współnikiem. Wziął kredyt i wreszcie razem z Hanką

mogli zamieszkać u siebie, z dala od starej. Kiedy tylko przekroczyli próg nowego mieszkania, ona od razu zaciągnęła go do sypialni i popchnęła na łóżko. Wgramoliła się na niego pospiesznie, rozpinając guziki jego koszuli, a on z przyklejonym uśmiechem zsunął jej zwykłe bawełniane gacie, udając, że sprawia mu to wielką przyjemność. Pod ohydnyymi barchanami zamiast jędrnego tyłeczka wyczuł dwie drżące, pikowane cellulitem buły. Unosiła się i opadała monotonnie, a z jej twarzy nie schodził uśmiech. Skończył po trzech minutach, mając nadzieję, że dziś nie przypada dzień płodny. Znów tuliła się do niego jak bezbronna, mała dziewczynka. Miała przy sobie swojego rycerza, który, pracując ciężko, wywalczył dla nich w końcu lepszą przyszłość. Była przekonana, że będzie dobrze. On, obejmując ją, myślał, że jakoś to będzie. Niedługo potem – mimo że cały ich nowoczesny blok zbudowany był z betonu komórkowego obłożonego styropianem, a poza nimi w mieszkaniu nie było nikogo innego – współżyli cichutko, s zybcitko, pod kołderką i przy zgaszonym świetle. Przyczyną rozpadu ich pożycia była prawdziwa i dozgonna męska przyjaźń. W związku z otwarciem nowej filii przedsiębiorstwa Zbyszek coraz częściej wyjeżdżał w delegacje. Hanka za każdym razem cierpliwie pakowała do walizki wszystkie jego ulubione koszule i szczoteczkę do zębów. Czekwała wiernie na swojego męża, wertując prasę kobiecą w poszukiwaniu nowych, wspaniałych przepisów kulinarnych. Biedak ciągle żyje w stresie. Stołuje się w tych przydrożnych barach. To na pewno nie pomoże na te jego nadżerki w żołądku. Jak tylko wróci, odkarmię go porządnie – myślała.

Przypomniała sobie z ulgą, że przecież zakłada jeszcze szeroki, wełniany szal. Będzie wyglądała szczupło i nikt nie zauważy żadnego rozdarcia. Upięta włosy w skromny kok i przyjrzała się swojej twarzy. Że też ten wrzód musiał mu pęknąć akurat teraz, kiedy wreszcie nauczyła się gotować lekko i zdrowo, całkiem po swojemu. To było w tym wszystkim najbardziej niesprawiedliwe. Wszystkie jej starania poszły na marne. Gdyby jej posłuchał... Gdyby zrzucił część obowiązków na podwładnych... Gdyby częściej bywał w domu, jadł jej obiady... Założyła czarny kapelusz z woalką. To w nim matka żegnała ojca. Nie zamierzała się malować. Stroiła się dla niego po raz ostatni, a przecież zawsze najbardziej podobała mu się taka, jaka była – bez żadnej tapety. Idąc przez przedpokój, zauważyła na podłodze wielkiego karalucha, który najwyraźniej czuł się jak przyjaciel domu, gdyż w ogóle się jej nie bał. Nie mam teraz czasu się z wami użerać – pomyślała, rozgniatając insekta płaskim obcasem. Skurczybyki przełaziły zsykami do szybów wentylacyjnych. Od dłuższego czasu toczyła z nimi otwartą wojnę. Przegrała kolejną bitwę. Widocznie trutka, którą kupiła na promocji, nie zdała egzaminu.

Poprzedzające pochówek pożegnanie w małej kaplicy przy jednej z parafii na Woli trwało bardzo krótko. Żałobników było niewielu. Hanka nie miała już żadnej bliskiej rodziny. Nad otwartą trumną stał oprócz niej tylko brat Zbyszka. Jego przyjaciel i współnik, który zorganizował całą ceremonię, taktownie zachował dystans. Zgodnie z życzeniem Zbyszka nie zamówił mszy. Zmarłemu zawsze skakało ciśnienie na myśl o tym, ile księża

biorą za bredzenie na odwal się przez dwadzieścia pięć minut. Świeżo upieczona wdowa przystała na to. Nie chciała, żeby wszystko się przedłużało. Wiedziała, że Zbyszek nie poprosił o świecki pogrzeb tylko ze względu na nią. Zanim ostatni raz ucałowała męża, powiodła wzrokiem dookoła. Pod ścianą w rogu kaplicy stała jeszcze jedna kobieta. Hanka miała ochotę podejść do niej, złapać ją za te czarne, kręcone kudły i roztrzaskać jej łeb o zimną, wilgotną ścianę. Jako wdowa nie mogła sobie jednak pozwolić na urządzenie scen. Musiała zachować klasę. Pochyliła się wolno nad ciałem i dotknęła swoimi ustami sinych, zimnych warg nieboszczyka. Przeszedł ją dreszcz. Nie wywołał go jednak pocałunek. Prostując się, spostrzegła, że nie poznaje garnituru męża. To ty go dla niego wybrałaś, zdziro! Ślubnego nigdy więcej nie chciał założyć – pomyślała. Starła się bardzo, żeby jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Stary, łysy, grubawy ksiądz odbębnił swoje. Udając, że poprawia kołnierzyk koszuli, przyjrzała się po raz ostatni twarzy ukochanego, zanim zamknięto trumnę. To, co działo się na cmentarzu, wyparła z pamięci. Wystarczyło jej kilkuminutowe, ostatnie tête à tête przed przybiciem wieka.

Nie nosiła żałoby. Miała gdzieś, co pomyślą sąsiedzi. Wszyscy na tym burżujskim osiedlu i tak nie widzieli nic poza czubkiem własnego nosa. Tym lepiej. Nie umiała dłużej rozpaczać. Dość się wycierpiała, wyczekując na niego całymi dniami tylko po to, by potem usłyszeć, że nie jest głodny i od razu idzie spać, bo pada z nóg. „Tylko zgaś światło, jak już skończysz czytać to swoje romansidło”. Za każdym razem to samo. Potem, kiedy podejrzewała, że ma kochankę, nienawidziła go coraz bardziej, a jednocześnie kochała za bardzo, żeby odejść. Ciągle miała nadzieję, że pewnego dnia on to zakończy i wróci do niej na kolanach, błagając o przebaczenie. Przecież była jego piękną, ukochaną żoną... Tydzień po pogrzebie, pijąc poranną kawę, zastanawiała się, co właściwie powinna teraz zrobić. Kwota, na jaką ubezpieczył się Zbyszek w razie nagłej śmierci, była dość pokaźna. Miała przed sobą rok wygodnego życia bez potrzeby szukania pracy. Do samotności przyzwyczaiła się już dawno. Nie czekając, aż dopadnie ją chandra, po raz kolejny wypowiedziała wojnę karaluchom i dziarsko ruszyła do supermarketu.

W dużych sklepach wielobranżowych najbardziej irytowały ją emerytki. Stare baby, które potrafią spędzić pół dnia, wędrując samotnie z pustym wózkiem po wszystkich stoiskach, bo nie mają nic lepszego do roboty. Już się napracowały, a z robienia sztucznego tłoku uczyniły dyscyplinę sportową pod nazwą „wkurwianie na mohera”, w której najwyższym punktowaniem osiągnięciem jest wepchnięcie się w kolejkę do kasy przed kobietę w ciąży. Hanka przyglądała się właśnie nowościom wydawniczym na stoisku z książkami po 9,90, które zwykle nie schodzą i trzeba je przecenić. Nagle coś wielkiego przesłoniło jej cały świat. Była to gigantyczna, obleczona w szarą spódnicę dupa ślepej jak kret moherki, która nagle stała się wielbicielek literatury.

— Czego się wypychasz, stara babo?! — wrzasnęła Hanka.

I zaczęło się...

— Jak pani śmie, tak się do mnie zwracać?! — darła się moherka. — Co za brak wychowania! Odrobinę szacunku! Ja przeżyłam wojnę! Moja matka zginęła w Powstaniu!... Wiedziała, że jedyne rozsądne wyjście to poczekać w milczeniu, aż emerytka wypluje cały zapas jadu, który gromadził się w niej od rana. Wdawanie się w dyskusję tylko pogorszyłoby sprawę. Moherka wyrzygała całą litanię pretensji i oddaliła się, mamrocząc coś pod nosem. Hanka wzięła głęboki oddech, licząc w myślach do dziesięciu, i sięgnęła po książkę, której dotąd w tym sklepie nie widziała. Powieść nosiła tytuł „Zaufać przeznaczeniu”. Tandetny złoty napis z tyłu okładki głosił: „Bądź czujna! Nigdy nie wiesz, kiedy i gdzie spotkasz miłość swojego życia!”. Zadowolona, że ma już wszystko, co niezbędne, aby miło spędzić wieczór, włożyła książkę do koszyka, w którym spoczywał już jogurt brzoskwinio- wy i dwie bombonierki.

Kiedy tylko stanęła w kolejce do kasy, natychmiast zapomniała o starciu z wściekłą staruchą. Wśród mieszaniny wielu ludzkich smrodów jej nos wyłowił doskonale znaną woń. Tak! To męska wersja Eternity Calvina Kleina. Wieczność... Tak samo pachniał Zbyszek, kiedy go poznała. To był jego zapach przez wiele lat, zanim... zanim poznał tę sukę! A przecież ślubował jej właśnie wieczność... To już przeszłość... Przeszłość... Trzeba się pozbierać... Trzeba zacząć jeszcze raz... Przecież zawsze chciała być szczęśliwa... A teraz... Teraz w kolejce do kasy stoi przed nią elegancki, zabójczo przystojny facet, który używa jej ulubionej wody toaletowej. To nie może być przypadek! „Bądź czujna! Nigdy nie wiesz, kiedy i gdzie spotkasz miłość swojego życia!”. Jest czujna! To przeznaczenie! Trzeba działać! Teraz!

*

Dla nadinspektora Jakuba Grygały ten dzień był stanowczo zbyt długi. Od samego rana w całym wydziale kryminalnym Komendy Stołecznej Policji przy ulicy Nowolipie 2 dosłownie wrzało. W mieszkaniu jakiejś kobiety znaleziono upozowane na krześle zwłoki półnagi mężczyzny. Za cholere nie było wiadomo, skąd on się tam wziął. Sąsiedzi właścicielki mieszkania twierdzili, że nigdy nie sprawiała żadnych problemów, a od jakiegoś czasu mieszka sama, ponieważ jej mężowi pękł wrzód. Zbliżała się siedemnasta, a do końca dyżuru pozostały jeszcze dwie godziny. Nagle zadzwonił telefon.

— Grygała, słucham... — powiedział beznamiętnym tonem.

— Siemasz, Kubuś! — wykrzyknął ochoczo głos w słuchawce.

— Jaki, kurwa, Kubuś?! Tyle razy ci mówiłem... A zresztą... Co chcesz?

— Dzwonię, bo słyszałem, że miałeś ciężki dzień. U mnie też cyrk. Wyobraź sobie, przywieźli do mnie na Waliców złodziejkę. Koszulę zajebała z supermarketu. Tłumaczyła, że trafiła ją na promocji i że mężowi będzie świetnie w tym kolorze.

Grygała tracił resztki cierpliwości.

— Stary... A co mnie to obchodzi?

— Ale czekaj, nie wkurwiał się. Daj skończyć! Pytam babkę, dlaczego nie zapłaciła. Ona na to, że zapłaci później, a teraz musi już lecieć, bo oblała męża jogurtem i jej biedak zmarł. Czaisz?! Kończę, bo widzę, że nie masz nastroju. Brydź o ósmej u Ryśka! Pamiętaj!

Grygała odłożył słuchawkę i spojrzął na zegar. Minęło dopiero pięć minut. Przeciągnął się, ziewnął i wbił zmęczone oczy w krajobraz za oknem. Rozległo się pukanie do drzwi. Ki chuj?! – pomyślał Grygała

— Wejść!

Do jego gabinetu wpełzł Marian Gacek – patolog nazywany w firmie „Wujkiem Festerem”.

— Ten sztywniak, coście mi go rano przywieźli, strzelił sobie przed śmiercią kawkę z niespodzianką. Zaraz napiszę protokół.

— Co to za niespodzianka?

— Trutka na karaluchy. Ciekawa sprawa...

— Bo? – zapytał od niechcienia Grygała.

— Ta substancja jest dla karaluchów zupełnie niegroźna. U ludzi w małych dawkach rozłożonych w czasie powoduje wrzody, a w dużych – wylewy jak u denata.

— Paskudnie... – jęknął Grygała. – Ale zaraz... wrzody, mówi pan?

— Tak, ale trzeba by żreć po trochu.

Nadinspektor nie odpowiedział. Odprawił patologa nieuprzejmym machnięciem ręki i począł wykręcać numer komisariatu na Waliców.

— Wiesiek? Zapytaj tę wariatkę, gdzie mieszka i czy ktoś jej ostatnio nie umarł.



Z PAMIĘTNIKA KAMERZYSTY

Inga Gumieniak i Łukasz Kiełbasa

*Opowiadanie i ilustracja pochodzą ze zbioru *Koszmar spoza granicy snów – Horror na Roztoczu*

— Do widzenia! — Hubert zamknął drzwi swojego trzypokojowego mieszkania za wysokim mężczyzną o sowej twarzy, w skrojonym na miarę garniturze. Spojrzał w lustro i skrzywił się, próbując ukryć zadowolenie. W rękę trzymał wypchaną kopertę. Spojrzał na zdjęcie swojej żony Marleny oraz dzieciaków, po czym uśmiechnął się szeroko.

*

Umowa była jasna i przejrzysta. Żadnych powodów do narzekań poza jednym. Lokalizacją. Zazwyczaj Hubert mawiał: „Przykro mi, nie przyjmuję zleceń w tym regionie”. Jednak tym razem dla pieniędzy złamał jedno ze swoich żelaznych postanowień.

— Będzie dobrze — uspokajała go żona.

Obydwoje wiedzieli, że dzięki jego pracy przy filmowaniu ślubów Marlena mogła poświęcić dziewczynkom niemalże cały swój czas. Hubert był fachowcem, więc zarabiał nieźle, a ona gotowała obiady i codziennie po kilka godzin pracowała w cukierni. Ale najważniejsze dla niego było to, że nie musiał prosić teściowej o pomoc w opiece nad Martą i Julką. Nie, żeby jej nienawidził, po prostu nie odpowiadały mu jej sposoby wychowawcze. Za dużo słodyczy i rozpieszczania, za mało przestrzegania zasad.

Hubert westchnął i wyprostował się na krześle. Miał mieszane uczucia. Ponownie spojrzął na wypchaną kopertę z zaliczką. Naprawdę dobrze płacili. Spomiędzy równo ułożonych banknotów wystawała jego wizytówka. Wyjął ją i spojrzął z dumą:

„Hubert Siudak. Profesjonalny kamerzysta. Śluby, wesela oraz inne przyjęcia okolicznościowe. Zatrzymaj najpiękniejsze chwile!”

Pod hasłem reklamowym numer telefonu i adres strony. To właśnie dzięki tej stronie i aktywnej promocji cały kalendarz miał już zapełniony. Witrynę wykonała jego żona (podziękował jej za to romantyczną kolacją i cudownym seksem). Czasem zastanawiał się, dlaczego ta genialna i zjawiskowo piękna kobieta nie pracowała jako grafik. I kiedy pytał ją o to, odpowiadała mu ze spokojem:

— Wiesz przecież, że to wymaga czasu. Nie wyobrażam sobie, żeby Martę i Julkę wychowywała babcia czy niania. Zresztą, ty zarabiasz całkiem nieźle i póki co, dajemy radę.

Prawda?

Hubert wiedział, że Marlena ma rację. A jego zarobki rzeczywiście były nieźle. Gdyby znalazł jeszcze dwa zlecenia, jak to...

TRRRACH!!

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk uderzenia i krzyk.

Wypadek?

Hubert podniósł się energicznie z krzesła i skoczył do okna. Śnieg oślepił go na chwilę, mimo to zauważył wyraźnie: auto z pękniętą szybą i wygiętą maską stało na przejściu, tuż pod jego oknem. A na nim czerwona ciecz. Ręka? Czy spod skrzywionej maski wystaje mała ręka?

Nie myśląc wiele, wciąż w kapciach, wybiegł z mieszkania. Zejście z drugiego piętra nie zajmuje dużo czasu. Kalkulował. O której Marta wraca ze szkoły? Czy to możliwe, że teraz? Oby dzisiaj miała dodatkowy angielski. Zaraz. Jest czwartek. Dzisiaj kończy wcześniej. Mniej więcej o tej godzinie...

Do miejsca wypadku powoli schodzili się grubo ubrani gapie. Hubert otworzył drzwi do klatki. Uderzyło go mroźne powietrze. Na niedokładnie odśnieżonej ulicy, tuż obok zniszczonego auta, leżał tornister. Poznał go. Niebieski we wzorki, z żółtymi buźkami – naklejkami, które jeszcze wczoraj sam przyklejał.

Już miał rzucić się w kierunku pojazdu, gdy nagle ktoś chwycił go za ramię.

— Tato — spojrzął na córkę w śmiesznej czapce z uszkami zająca. Kamień spadł mu z serca. Objął ją i pocałował. Szok powoli mijał, a mężczyzna zaczął odczuwać zimno.

Zerknął uważniej w stronę miejsca wypadku. Czerwona ciecz to tylko keczup, a to co wydawało się być ręką, to jedynie kalafior. Tak, zwykły kalafior utknął w półotwartej masce samochodu. Zauważył leżące nieopodal siatki z zakupami.

— Tato, pomożesz pozbierać rzeczy dla tej pani? — Hubert spojrział na starszą kobietę, która wciąż była przejęta tym, że auto potrąciło jej zakupy.

— Jasne. Jasne, że pomogę. Tylko się ubiorę.

*

Na kilka dni przed ślubem Hubert zawsze dzwonił do zleceniodawcy. Ludzie są różni. Zdarzało się, że imprezę odwoływano. Oczywiście nikt nie informował o tym kamerzystów. Bo po co?

Rozmówca zaskoczył go.

— Wesele przeniesiono do zamku? Czy dobrze zrozumiałem?

— Dokładnie. Trafi pan bez problemu — powiedział męski, szorstki głos, po czym się rozłączył.

— Proszę pana! Halo?

Cisza.

*

Hubert stał przed lustrem. Był przystojnym brunetem o dużych, piwnych oczach. Bez szczególnych znaków, poza jednym – blizną na czole tuż pod linią włosów. To pamiętka po pewnym weselu. Od początku tamtej imprezy coś było nie tak.

Już w domu młodego wszyscy wydawali się dziwnie nieobecni, milczący. Świeżo upieczony mąż miał przez cały czas ściśnięte usta i ten nerwowy tik. Noga skakała mu na lewo i prawo, szczególnie, gdy siedział. A na weselu? Hubert pamięta to doskonale. Nigdy nikomu nie pokazał tego filmu. Przez całą uroczystość żaden z gości nie wstał od stołu. Żadnego tańca. Po co oni w ogóle zatrudniali kamerzystę? – myślał wtedy.

Jednak podczas przeglądania kaset Hubert zauważył coś jeszcze, a raczej czegoś nie zauważył. Nie zauważył żadnego uśmiechu. Ani panna młoda, ani pan młody, ani nikt z zaproszonych gości nie uśmiechał się. Wszyscy siedzieli jak trupy i patrzyli na swoje talerze. Koszmar. Nie spodziewał się tego po weselu, które odbywało się na Roztoczu.

W pewnym momencie tamtej imprezy pan młody po prostu wstał od stołu, podszedł do Huberta i wymierzył mu potężny cios dzbankiem w głowę. Choć oszołomiony, Hubert nie zemdłał. Po prostu zalała go krew. Wtedy postanowił, że nigdy już nie przyjmie zlecenia na Roztoczu. Trwał w tym postanowieniu aż do teraz.

Przejechał palcem wzdłuż blizny.

W przeddzień wesela Hubert zawsze jeszcze raz sprawdzał cały sprzęt i skrupulatnie umieszczał każdy element we właściwych kieszonkach swoich trzech toreb. Marlena układała Julkę do snu, a Marta zacięcie malowała swoją rodzinę w ramach pracy domowej.

Hubert skończył pakowanie i rozluźniony ruszył do kuchni po szklankę wody. Zatrzymał się w salonie i, upijając łyk, zerknął kątem oka na efekty twórczości córki. Na obrazku wyglądał jak strach na wróble, który ma za zadanie przerażać na śmierć pazerne ptaszyska. Jego czarne włosy sterczały na wszystkie strony świata, a ubranie wydawało się złachane. Najbardziej niepokojące były oczy. Niczym czarne węgielki patrzyły w dal przestraszonym wzrokiem. Jego uśmiech przygasł.

— Czy to ja, kochanie?

— Tak, tatusiu. Prawda, że wyglądasz olśniewająco?

Tego słowa Marta używała przy każdej okazji.

— Tak, zaprawdę wyglądam olśniewająco – rozpogodził się Hubert, pozwalając wciągnąć się w gierkę córki.

— Zaprawdę! — ucieszyła się dziewczynka i postanowiła, że na szkolnej przerwie zaprezentuje tajemnicze słówko innym dzieciakom.

— Gdzie tym razem? — zapytała Marlena, która akurat weszła do salonu.

Odziana tylko w szlafrok była piękna i pociągająca. I tak cudownie nie zdawała sobie z tego sprawy. Zaraz pewnie siądzie do komputera i zacznie przerabiać zdjęcie w Photoshopie.

— Roztocze.

— Ooo! Miało już nie być Roztocza. A konkretnie?

— Kraśnik.

— Hmmm... Zazdroścę.

— Nie ma czego. Podróż będzie długa i męcząca. Poza tym, kielicha raczej nie wypiję...

— Hubert, ale mi chodzi o te piękne okolice, rozległe pola, świeże powietrze i normalne tempo życia. Nie jak tutaj.

Hubert rozumiał. Życie Marleny ograniczało się do cukierni i opieki nad dziećmi. Zazwyczaj po wyjściu z pracy pędziła na pobliski targ, robiła zakupy na obiad. Ale przecież obydwoje zdecydowali się na drugie dziecko. To była ich wspólna decyzja, nie tylko jego.

— Obiecuję, że w tym roku pojedziemy do Tunezji.

— Obiecujesz? — powtórzyła Marlena jak dziecko, co spowodowało, że Hubert się uśmiechnął.

— No pewnie!

*

Wyruszył o trzeciej nad ranem z piątku na sobotę. Wczesną wiosną o tej porze jest jeszcze zimno, dlatego ubrał się dość szczelnie, na sportowo. Czeką go w końcu wiele godzin jazdy. Pantofle i garnitur zapakował do walizki. Pocałował żonę na pożegnanie. Dziewczynki smacznie spały.

— Zrobiłam ci twoje ulubione — Marlena podała Hubertowi siatkę.

— Z kotлетem? Dzięki, kochanie!

Na dłuższe wyjazdy zawsze zabierał ze sobą kanapki z kotлетem mielonym, które specjalnie dla niego serwowała jego seksowna żona. To było danie przeznaczone tylko i wyłącznie na jego podróże. Nie wiedział, z czego Marlena przyrządza panierkę, ale za każdym razem kanapki smakowały wybornie.

Dziesięć minut później siedział w swoim czarnym seicento. Z gazem, dzięki czemu podróż nawet w odległy kraniec Polski była opłacalna.

Wrrrr. Zawarczał groźnie mały pojazd, a z głośników zabrzmiało:

„Kiedy wszystko jest na tak...”

Mimo, że utwór przyjemnie brzmiał, Hubert wyłączył radio. Znał ten zespół. Ambu-lans – przypomniał sobie po chwili. Kiedyś pomagał podczas kręcenia jednego z teledysków, ale okazało się nie być to jego powołaniem. Tylko czy na pewno wszystko jest na tak? – zadał sobie pytanie. Odpowiedziała mu złowroga cisza.

Hubert wyruszył spod pomalowanego na żółto bloku mieszczącego się na warszawskim Ursynowie. Cała podróż zajęła mu pięć godzin. Po drodze nie zatrzymywał się zbyt często. Dwa razy, by rozprostować kości i raz, aby zaopatrzyć się w nową paczkę papierosów. Chciał to rzucić, szczególnie przy takich cenach, ale jakoś nie wychodziło.

Dzień przed wyjazdem przeczytał co nieco o Kraśniku. Miasto położone nad rzeką Wyżnicą. To prawdopodobnie w nim inicjuje swój początek cała kraina Rostocza. Można zwiedzić zabytkowe cmentarze, synagogi, średniowieczny rynek i wiele innych ciekawych miejsc.

Hubert lubił podróże i zwiedzanie.

Porobię trochę zdjęć dla Marleny – pomyślał. Będzie mogła je przerobić i wrzucić do facebookowej galerii – swoją drogą – imponujących rozmiarów. Kolekcja liczyła już kilka tysięcy fotografii z różnych miejsc w kraju, głównie w wykonaniu Huberta.

Cóż, naprawdę lubił zwiedzać.

Wszystko, poza Rostoczem.

*

Kraśnickie regiony zaskoczyły go mnóstwem przepięknej zieleni, jezior, rzek oraz zabytkowych domostw. A może lepiej powiedzieć po prostu starych? Bywał tu rzadko. Może dlatego prawie zapomniał, jak bardzo Rostocze różni się od reszty kraju. Inne. Zielone. Spokojne. Pełne regionalnych dziwactw. I nieprzewidywalne. Hubert przejechał od ruchowo palcem po bliźnie na czole.

Do Kraśnika wjechał około dziesiątej i od razu poczuł, że burczy mu w brzuchu.

Pokręcił się po mieście do czasu, aż wypatrzył szyld z napisem „Pizza i dania włoskie”. Zaparkował nieopodal i wszedł do środka.

Wybrał średniej wielkości pizzę z salami, którą pochłonął w pół godziny. Obok znalazł cukiernię i kupił w niej pączka. Należał do tych osób, które mimo skonsumowania treściwego posiłku, muszą po nim przekąsić coś słodkiego.

Gdy miał już pełny żołądek, rozpoczął zwiedzanie. Kiedy karta zapełniła się już w znacznym stopniu zdjęciami zabytków, Hubert spojrzął na zegarek.

Czternasta dwadzieścia trzy.

Na dalsze zwiedzanie nie miał już czasu. Wskoczył do swojego seicento i ruszył w stronę zamku, prowadzony seksownym kobiecym głosem z nawigacji.

Budynek położony był na północ od rynku i oddzielony dość głębokim wąwozem. Rzeczywiście, nie miał żadnych większych problemów z odnalezieniem obiektu. Wielkie i ponure zamczysko górowało nad całym miastem niczym posepne bóstwo. Wszechwidzące i wszechwiedzące, lecz milczące jak głaz, cierpliwie czekając na swoje nieświadome zbliżającego się końca ofiary... Czasem wyobraźnia kierowała jego myśli w zupełnie nieznanym kierunku. Czasem, tak jak teraz, jego własne myśli przerażały go.

— Spokojnie — powiedział do siebie i skupił się na trasie. Podjechał na wielki, zapełniony prawie w całości parking przy zamku. Ledwo wcisnął się między rzędy poupychanych wozów (goście zapewne już byli w komplecie). Wyłączył silnik i wysiadł.

Wreszcie z należyтым dystansem mógł przyjrzeć się budowli. Tym razem jednak jego wyobraźnia zabrała go jeszcze dalej. W każdym centymetrze starej cegły wyczuwał pokłady czegoś złowrogięgo, niepokojącego i mrocznego. Wielkie okiennice zerkały niczym ślepie, przesywając na wskroś obserwatora, rozchylone jak paszcza bestii wrota czekały na niego, a porastające mury winorośle, przypominające macki gigantycznej ośmiornicy ukrytej w morskich głębinach, falowały po murze i układały się w niewyobrażalne kształty. Hubert nie potrafił wyjaśnić, dlaczego owładnął nim taki niepokój. Był natomiast w stu procentach przekonany – zbliża się coś bardzo złęgo. Na jego czole pojawiły się krople potu.

*

W środku panował mroczny i posepny klimat. Zatęchłe powietrze wypełniło jego nozdrza nieprzyjemną wonią. Ciężkie meble oraz dodatki przypominały stylem wnętrza zamieszkałe przez ortodoksyjną rodzinę żydowską.

Hubert przedstawił się przy wejściu i został skierowany na pierwsze piętro, gdzie – jak się okazało – przygotowano dla niego mroczny, aczkolwiek dość obszerny, pokój. Tynk odłaził ze ściany, na której wisiał ogromny obraz przedstawiający sceny z polowań przy udziale psów gończych. Stare łóże przykryte było poplamionym, ciemnobrązowym pokrowcem.

— Roztocze... Eh.... — westchnął Hubert.

Mimo obrzydzenia położył się na łóżku, aby chwilę odpocząć.
Czekała go przecież noc pełna wrażeń.

*

Ceremonia przebiegła szybko i sprawnie. Panna młoda okazała się skończoną pięknnością. Miała wielkie zielone oczy, długie blond włosy upięte w finezyjny kok, częściowo spływający na bok. Jej ciało było otulone cudowną, tradycyjną suknią ślubną, w którą gdzieniegdzie wpięto czerwone różyczki. Prezentowała się wyjątkowo i nawet wierny swojej żonie Hubert nie mógł oderwać od niej wzroku. I, co najważniejsze, uśmiechała się. Kiedy zobaczył jej promienny uśmiech, jeszcze przed ceremonią, odetchnął z ulgą. Może Roztocze jednak ma swoje uroki – pomyślał.

Pan młody jednak był zupełnie inny. Nie pasował do niej. Choć także przystojny, wydawał się być jakby nieobecny duchem i przygaszony. Pewnie wpadli i młodemu to nie na rękę – pomyślał Hubert i uśmiechnął się lekko.

*

Gości było w bród. Hubert rozpoznał kilkoro popularnych polskich aktorów oraz sław show-biznesu. Jedną z takich osobistości, pewien znany aktor ze szparą między zębami, którego nazwiska jakoś nie mógł sobie przypomnieć, wygłosiła nieco nudną przemowę dotyczącą pana młodego. Gdzieś w tłumie krążył też fotograf.

Profesjonalista – ocenił Hubert. Ustawiał się dokładnie tam, gdzie powinien i mierzył ujęcia precyzyjnie niczym snajper.

Hubert pamiętał go z jakiegoś wesela, była wtedy niezła zabawa. Miał takie dziwne, obco brzmiące nazwisko. Chyba Wasylko.

Zauważył Huberta. Skinął lekko głową, witając się. Może nie będzie tak źle – pomyślał Hubert.

Zarówno ślub, jak i wesele, odbywały się w zamczysku. Wszystkie sale, poza ostatnią, były przechodnie i ułożone na planie litery L. Co ciekawsze, każde kolejne pomieszczenie – patrząc od strony głównego wejścia – było o kilka schodków poniżej poprzedniego. W konsekwencji ostatnia sala – największa – ta, w której odbyła się ceremonia, mieściła się w piwnicy. Była ogromna i trzeba przyznać dekoratorowi, że wykonał kawał świetnej pracy, rozplanowując w niej oświetlenie. Po środku jednak znajdowało się coś, co zupełnie tam nie pasowało.

— To studnia? — zagadnął jednego z gości Hubert, przyglądając się wielkiej dziurze otoczonej zbyt niskim, choć cudownie zdobionym murkiem.

— Tak. Prawda, że wspaniały pomysł? — odkrzyknął gość i natychmiast zniknął wśród tłumu, porwany przez swoją partnerkę.

Wspaniały?! Niekoniecznie, ale na pewno wart umieszczenia w galerii Marleny.

*

Podano kolejne danie. Ubrane w białe fartuchy kucharki weszły gęsiego na salę, niosąc ze sobą olbrzymie wazy i tace. Serwowano tradycyjne dania. Goście zachwycali się rosołem, flakami, kurczakiem, tatarskim, kolorowymi sałatkami i pachnącymi ciastami. Nie zabrakło także różnego rodzaju wędlin oraz wiejskiego stołu z olbrzymim bochnem chleba, smalcem domowej roboty i nalewkami.

Po spożyciu któregoś już z kolei posiłku, goście ponownie ruszyli w tany. Wywijali i skakali po wielkiej sali, w dziwny sposób – jakby automatycznie – omijając wielką dziurę w podłodze. Znakomita atmosfera udzieliła się nawet Hubertowi. Z rozbawieniem naprowadzał obiektyw kamery to na jednego, to na drugiego biesiadnika. Dobrego materiału miał aż nadto. Będzie z czego montować – pomyślał.

*

Oczepiny dobiegły końca. Fotograf pożegnał się uprzejmie i zniknął w tłumie. Kapela zaczęła grać jakiś wolny utwór. Hubert usiadł przy stoliku i zaczął pakować sprzęt do toreb. Robił to powoli i dokładnie. Wiedział, że jeśli czegoś zapomni, prawdopodobnie już więcej tego nie zobaczy. Choć wesele było świetne, odczuwał ulgę, że dobiegło końca. Napicie związane z tym, że musiał być ciągle skupiony na małym monitoru kamery ustąpiło, jednocześnie przypominając ciało o ogromnym zmęczeniu i potrzebie regeneracji. Ziewnął delikatnie i spojrzał na energicznie harujących biesiadników. Rzeczywiście nie było tak źle – przypomniał sobie słowa Marleny. Może dam Roztoczu jeszcze jedną szansę.

Wtem ktoś postukał go delikatnie w ramię.

— Czy mogę prosić pana do tańca? — odezwał się dźwięczny i melodyjny głos.

Hubert wyprostował się. Stało przed nim najpiękniejsze zjawisko tego wieczoru, panna młoda we własnej osobie. Promienny uśmiech rozświetlał jej twarz, a wielkie zielone oczy patrzyły z nadzieją. Hubert zauważył jej lekko rozchylone, czerwone usta i tylko odrobinę odstający od reszty – tak cudnie niepasujący – kosmyk włosów. Chyba zrozumiała jego spojrzenie, bo jej oczy zmieniły wyraz.

Hubert miał swoje zasady. Jedną z nich mówiła, żeby nie spoufalać się z gośćmi, a szczególnie z panną młodą, bo może to być źle odebrane.

Już chciał jej odmówić, ale zanim zdążył wypowiedzieć pierwsze słowo, ona chwyciła go delikatnie za rękę. Na swojej dłoni poczuł jej ciepło.

Aż do dziś nigdy nie łamał swoich zasad. Przynajmniej tak sobie powtarzał. Ale te zielone, hipnotyzujące oczy... W sumie nie powinno się im odmawiać.

— Oczywiście — powiedział nieśmiało i pozwolił wciągnąć się w wir muzyki.

Zaczęli tańczyć. Z początku szło im niezdarne i sztywno, lecz już po krótkim czasie rozkręcili się do tego stopnia, że sunęli po obszernej sali, jakby wcale nie dotykali stopami parkietu. Dochodziła druga w nocy. Hubert całkowicie zatracił się w tańcu, gdy nagle poczuł dotkliwego kuksańca w lewy bok.

— Co jest?

Przed nim stał pijany mężczyzna w poplamionej wódką koszuli, który – zataczając się – wymierzył w niego chwiejnie palcem.

— Ty... nie połowinieneś tańczyć z płanną młoda. Włacaj do słojej łoboty.

— Jak wytrzeźwiejesz, to pogadamy — chciał rzucić Hubert, zirytowany, że przerwano mu tak cudowną chwilę.

Nie zdążył jednak dokończyć zdania, bo mocne pchnięcie wyrwało go z objęć kobiety.

Leciał do tyłu.

Próbował złapać równowagę.

Zaraz wpadnął na ścianę – pomyślał, ale tak się nie stało. Wpadł na coś zupełnie innego – prosto w objęcia pana młodego, który przypatrywał się tańczącej żonie. Ten jednak nagle przytłoczony masą około stu kilogramów, sam stracił równowagę.

Hubert runął w końcu na ziemię.

Kątem oka, jakby w zwolnionym tempie, widział tylko, jak młody potyka się o niski murek otaczający studnię i znika w mrocznej otchłani.

Zapadła grobowa cisza. Muzyka ucichła. Wzrok wszystkich gości skierował się na jednego człowieka – leżącego pośrodku sali Huberta.

*

Pogrzeb miał odbyć się we wtorek. Hubert nie wiedział jeszcze, co powinien zrobić: zostać i uczestniczyć w uroczystości czy uciekać stąd jak najszybciej. Na poniedziałek rano umówił się z funkcjonariuszami w sprawie złożenia zeznań. Do tego czasu, dla własnej wygody, miał nie opuszczać miasta.

Przez te kilka dni zatrzymał się w miejskim hotelu, obawiając się, że jeśli pozostałby w zamkowym pokoju, mógłby zostać zlinczowany. A wiadomo, jak reagują tutejsi ludzie?

W poniedziałek rano wsiadł do swojego seicento i ruszył w kierunku posterunku policji.

Przez cały czas jego myśli skupione były wokół czarnej dziury wiejącej chłodem ze środka sali. Wciąż odczuwał te spojrzenia:

„Jesteś winny”.

„Złamałeś swoje zasady”.

„Zabiłeś go”.

*

Po złożeniu wyczerpujących zeznań Hubert zdecydował – wraca do domu.

Wyszedł pewnym krokiem przed posterunek i odpalił papierosa. Za-

ciągnął się i, wydmuchując dym, odczuwał, że jest już poza tą sytuacją.

Policjant wytłumaczył mu, że to był wypadek i nawet, mimo wielu nieścisłości w naszym prawie, niemalże na pewno nie będzie musiał odpowiadać za morderstwo. Zbyt wielu świadków widziało całe wydarzenie.

Kamerzysta skończył papierosa. Przydeptał niedopałek, po czym podniósł go i wrzucił do najbliższego kosza na śmieci. Ruszył w kierunku seicento.

— Panie Hubercie — usłyszał za sobą.

O, nie – pomyślał, odwracając się.

To był ojciec panny młodej. Wysoki mężczyzna o surowych rysach twarzy. Taki, któremu się nie odmawia.

— Panie Hubercie, nieprzyjemna sprawa.

— Nieprzyjemna — zagajony nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Rozumiem, że będzie pan jutro. — Nie zabrzmiało to jak pytanie.

— Panie Zdzisławie... — chciał znaleźć jakąś wymówkę, ale kątem oka ujrzał ją. W czerni wyglądała równie zjawiskowo. Zerknęła na niego tymi pełnymi zieloni, zażawionymi oczami, by po chwili zniknąć w głębi wielkiego, czarnego mercedesa. Dziwne, ale to nie było spojrzenie pełne gniewu. Było tam coś innego.

— Dobrze. Zatem do zobaczenia — wycedził mężczyzna i odszedł w kierunku auta. Wsiadł z tyłu.

Mercedes tylko zamruczał i powoli ruszył spod komisariatu. Hubert spojrzął na szofera i rozpoznał w nim człowieka, który jeszcze kilka miesięcy temu zostawił mu opasłą kopertę.

Ty idioto! – pomyślał o sobie i wyciągnął kolejnego papierosa.

*

Trumna była zamknięta. Ciemnobrązowa. Ustawiona na jednym ze stołów, przy którym biesiadowano podczas wesela. Być może był to ten sam stół, gdzie pan młody zajadał się flakami. A teraz spoczywają tu jego flaki. Hubertowi śniadanie podeszło do gardła.

Od chwili traumatycznego wypadku żył niczym w transie. Jak przez sen pamiętał, że Marlina zadzwoniła do niego w niedzielny poranek i wypytywała o coś. Bardzo męczyła go ta rozmowa. Szybko urwał i poinformował ją, że wszystko wytłumaczy po powrocie. Kiedy? Niedługo. A teraz stał w czarnym garniturze, gdzieś w tłumie, ściskany z każdej strony. Nie znał tutaj nikogo, ale czuł, jakby wszyscy wpatrywali się w niego i coś szeptali. Czy ja wariuję? – zapytał sam siebie.

Ludzie podchodzili do trumny i ze łzami w oczach składali wieńce. Ktoś stanął na podium i rozpoczął mowę. Ten sam aktor ze szparą. To chyba jakiś wielki przyjaciel młodego. Hubert nie słuchał zbyt uważnie. Rozglądał się za jedyną bratnią duszą, którą tutaj miał. Za nią – zielonooką boginią. Karcił siebie za myśli na jej temat. Kochał przecież Mar-

lenę, ale te oczy hipnotyzowały.

Ktoś przepychał się niegrzecznie przez tłum. Hubert rozpoznał w tej osobie faceta, który popchnął go podczas tańca. Co on tu robi? Czy jako sprawca nieumyślnego spowodowania śmierci nie powinien teraz siedzieć w areszcie? Tym razem już trzeźwy i w czystej koszuli facet podszedł do podium. Powiedział coś ojcu panny młodej i wskazał w kierunku...

W moim kierunku! – pomyślał Hubert przerażony.

Dwa spojrzenia utkwiły w nim jak szpilety. Hubert poczuł się niewygodnie w swojej skórze. Wszystko nagle zaczęło go swędzieć. Spuścił wzrok, podniósł – mężczyzny już nie było, a ojciec panny młodej wchodził na podium. Taki władczy, surowy.

*

— I gdyby nie zapraszać do grona najbliższych nieznajomych, nic takiego nie miałyby miejsca! — dotarło do uszu Huberta.

Ocknął się z transu. Ojciec panny młodej wpatrywał się w niego wzrokiem przepełnionym pogardą i nienawiścią. Niczym armia bezmyślnych robotów, wszyscy z tłumy zwrócili oczy w kierunku Huberta. Coś tu jest nie tak – pomyślał mocno zaniepokojony.

Ojciec jednak kontynuował swoje przemówienie. Spojrzenia skierowały się ponownie na mówcę. Hubert zaczął się kręcić. Chyba wystarczy. Nie muszę tego znosić. W imię czego? Ruszył powoli w kierunku wyjścia. Kiedy odwrócił się, zobaczył ją, tuż przy drzwiach wyjściowych z ostatniej sali zamku.

Stała samotnie. W obcisłym czarnym kostiumie. Powoli podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Hubert odczytał to jako zaproszenie. Spuściwszy wzrok, szedł w jej kierunku, próbując precyzyjnie się przez gości. Każdy jednak, jak na zawołanie, zastawiał mu drogę. Jakby chcieli powiedzieć:

„Tędy się pan nie przecisnie. Proszę spróbować gdzieś indziej”.

Hubert jednak parł do przodu coraz agresywniej. Bezosobowy tłum odpowiadał tym samym.

— Przepraszam! — warczał Hubert.

— Tędy się nie da! — odpowiadał ktoś co chwila coraz głośniejszym i bezczelniejszym głosem. Każda osoba wbijała w niego spojrzenie tak, że odczuwał je jak splunięcia w twarz.

Przeszedł może dwa metry, gdy nagle usłyszał...

— Był moim synem zaledwie przez jedną noc! — zawyła kobieta do mikrofonu, a Hubertowi od razu przeszły po plecach ciarki. — A teraz nie żyje! Moja córka straciła męża! W dzień swojego wesela została wdową! To nie jest normalne, tak się nie powinno dziać! To sprawka diabła! Demona, który wysyła do nas swoich posłańców i szpiegów! Czasem w roli przeciwnika w interesach, czasem w roli zwykłego sklepikarza z pobliskiego marketu, a czasem... w roli kamerzysty ślubnego.

Hubert poczuł, że nie powinien teraz się odwracać. Jeszcze mocniej

zaczął przec do przodu.

— To prawda! — krzyknął ktoś z tłumu. – To sprawka diabła! Ona ma rację!

Ktoś agresywnie odepchnął Huberta.

Z drugiej strony poczuł ukłucie. Odwrócił się w tym kierunku. Ujrzał niewielką staruszkę o miłym spojrzeniu, trzymającą w ręku widelec.

— Co, kurwo!?! — wysyczała cicho.

Poczuł jak coś ściska mu gardło. Nie mógł przełknąć śliny.

— Pomścimy chłopaka! Co on był komu winien?! — usłyszał gdzieś w tłumie.

— Tak! Pomścić go!

— Gdzie ten gnojek?!

Hubert całą siłą ruszył w stronę wyjścia.

Tłum otoczył go jeszcze bardziej. Hubert czuł na całym ciele, jak ktoś okłada go ciosami. Ktoś kopał go w nogę, ktoś inny uderzał w głowę, jeszcze ktoś inny dźgał widelcem czy długopisem. Spomiędzy tych uderzeń wychwytywał tylko strzępki obelg, kierowanych w jego kierunku. Nagle wszystko ustąpiło. Hubert leżał na podłodze, a tłum rozstał się.

— Spokój! Proszę o chwilę uwagi — z podium grobowym tonem ojciec panny młodej zwracał się do tłumu. Odchrząkując, dodał: — Zgodnie ze zwyczajem panującym w naszej rodzinie ten, który zadaje ból i cierpienie, musi odpokutować za swoje grzechy.

— Tak! Zemsta! — wrzasnął ktoś.

— Zaraz, zaraz! W naszej rodzinie wyznajemy pewną zasadę. Jeżeli pan młody zginął z ręki rywala, to rywal przejmuje jego dobra! W tym wypadku – moją córkę!

Tego już było za wiele. To jakaś paranoja! Że niby w ramach rekompensaty mam poślubić ich córkę?! Seks może tak...

Kamerzysta wstał i otrzepał się w milczeniu. Spojrzał na ojca panny młodej. Potem na zielonooką piękność. Teraz zrozumiał, co oznaczały jej spojrzenia – ona przecież znała tradycję swojej rodziny. To nie było zaproszenie na randkę, a na coś innego. Tylko co mogłoby go czekać w takiej rodzinie? Kochał Marlenę, Julkę i Martę. Miał swoje życie.

Ruszył z rozpędu na tłum, który odgradzał go od wyjścia. Ale tylko odbił się jak piłka od ściany i upadł na podłogę. Setki złowrogich spojrzeń oplotło go mackami.

Chryste, w co ja się wpakowałem. To przecież banda niezrównoważonych psychicznie wariatów! Kurwa!

Wstał i spojrzał na pannę młodą. Ta, wbiła w niego swoje spojrzenie i, nie odrywając wzroku, jedną ręką pchnęła drzwi. Zatrzasnęły się z hukiem, przerywając ciszę.

— Zabić tego szczura — wyszeptała.

*

Hubert skulił się pod stołem. Pomyślał o żonie oraz dzieciach i poczuł, jak gorące łzy spływają mu po policzkach. Nigdy w życiu tak się nie bał.

Jego oczy powoli zaczynały przyzwyczajać się do ciemności. Nie wiedział, czemu w pewnym momencie zgasły światła, ale może to też była część rodzinnej tradycji. Polo-

wanie na nowego pana młodego w ciemności!

Hubert widział zarysy osób przeszukujących po omacku salę. W pewnym momencie obok stołu ktoś przeszedł. W ręku trzymał podłużny przedmiot. To chyba łopata. Mój Boże – pomyślał mężczyzna – jeżeli mnie teraz złapią, zatłuką na śmierć.

Nie mylił się. Tłum potrzebował krwi. Jego krwi.

W pewnym momencie ktoś krzyknął donośnym głosem:

— Tu jest! Pod stołem! Łapać skurczybyka.

Czyjaś głowa wsunęła się pod blat i potężna łapa chwyciła Huberta za ramię. Kamerzysta chciał złapać się czegokolwiek i dziwnym zrzędzeniem losu pod ręką wyczuł podłużny metalowy przedmiot. Ścisnął go w dłoni i zamachnął się nim w ciemność.

TRAACH!

Ręka zwolniła uchwyt. To pogrzebacz! – spostrzegł Hubert. Jednym, potężnym ciosem rozwalił czyjąś głowę.

— Ratunku! Nic nie widzę! Rozciął mi łuk brwiowy! Krew! Wszędzie krew!

Hubert skulony przemieszczał się między stołami. Ktoś złapał go za włosy i wyciągnął na środek sali. Była to kobieta trzymająca w ręku nożyczki. Próbowwała wbić mu je w twarz. Hubert okazał się jednak szybszy. Jedno uderzenie w sam środek głowy wystarczyło, żeby niewiasta osunęła się na kolana. Z jej ust pociekła gęstą, brunatną krew.

W tym samym momencie ktoś złapał go za rękaw. Hubert zamachnął się pogrzebaczem.

— Spokojnie. Nie jestem jednym z tych świrów. Przyjechałem z Warszawy. Pomogę ci — powiedział zdyszany głos i Hubert pozwolił mu się poprowadzić w ciemność.

W mroku nie widział twarzy swojego wybawiciela.

Po chwili dotarli do wielkiej zasłony zawieszanej na ścianie. Nieznajomy mężczyzna rozsunał ją. Oczom Huberta ukazał się wąski korytarz wydrążony w murze.

— To tajemne przejście — oznajmił wybawiciel. — Prowadzi na zewnątrz, a stamtąd droga już prosta.

Hubert nie zastanawiał się ani chwili i ruszył za nieznajomym. Gdy kluczyli między zakamarkami ukrytego przejścia, miał odczucie, że adrenalina rozsadzi mu głowę. Jeżeli nie zginę z rąk oprawców, to umrę na zawał serca – pomyślał ze zgrozą.

Korytarz rozdzielał się, łączył i przecinał z innymi podobnymi. Kluczyli poprzez ten labirynt dobre piętnaście minut.

Podmuch świeżego powietrza wywołał lekki uśmiech na twarzy Huberta. Zbliży się – pomyślał. Tak jak przewidywał, plątanina korytarzy skończyła się. Kolejna dziura w murze prowadziła na zewnątrz. Nie wiedzieć czemu, było już ciemno. Przecież pogrzeb zaczął się o piętnastej. Niemożliwe, żeby to wszystko tyle trwało.

Pierwszy wydostał się nieznajomy. Za nim Hubert, który ze łzami w oczach stwierdził, że stoi na miękkiej trawie. Już miał się rzucić wybawcy w objęcia i podziękować, kiedy...

— Chryste! — wydusił z siebie.

Naprzeciwko niego z ciemności wyłaniała się powoli cała armia uzbrojonych w przeróżne przedmioty domowego użytku ludzi. Jeden mężczyzna trzymał w ręku łopatę, drugi grabie. Stojąca obok nich kobieta ścisnęła nóż kuchenny. Hubert wyobraził sobie, jak nóż wbija się w jego ciało. Poczłł gęsią skórkę, a włosy zjeżyły mu się na głowie. Spojrzał w stronę mężczyzny, który go uratował, lecz na jego twarzy dostrzegł taką samą dzikość jak u reszty. Został wrobiony. Jednym potężnym pchnięciem odseparował się od zdrajcy i zaczął uciekać wzdłuż zamkowego muru.

Tłum oszalałych żałobników rzucił się za nim w pogoń. Jeszcze chwila i będzie po mnie – pomyślał. Kątem oka spostrzegł niewielką szczelinę w ścianie. Zsyp na węgiel. Niezabezpieczony.

Poczłł jak coś ciężkiego uderza go między obojczyki. Na chwilę zabrakło mu tchu, ale biegł dalej.

Ten zsyp to była jego ostatnia szansa. Skoczył. Jednym susem próbował precyzyjnie się przez szczelinę. Nie udało się. Ktoś złapał go za nogę. Nagle poczuł ukłucie w łydce. Natychmiast po nodze rozlało się coś ciepłego.

— Musisz! — powiedział sam do siebie i z całej siły szarpnął nogę.

Poczłł lekkość. Spadał. Długo spadał.

*

Nie wiedział, ile leżał nieprzytomny, ale gdy się ocknął, odór stęchlizny wdarł się do nozdrzy, wywołując odruch wymiotny. Hubert zwymiotował. Odrobinę mu ulżyło.

— Żyję — powiedział bez większego przekonania.

Był chyba sam. Spojrzał w górę.

Nie słyszał żadnych odgłosów ani rozmów. Oцениł, że spadł jakieś pięć metrów. — Może myślę, że nie żyję — powiedział do siebie cicho.

— Nie... — Nieopodal usłyszał mizerny głos. — Myślę, że stąd nie ma wyjścia.

Hubert rozejrzał się w mroku. Mężczyzna leżał oparty o mur. Jego dolne kończyny były bezwładnie rozrzucone na mokrej ziemi.

Do Huberta wreszcie dotarł ból łydki. Usiadł natychmiast i jęknął.

Długo milczeli, jedynie rozglądając się dookoła. Hubert zrobił sobie prowizoryczny opatrunek z krawata. Nie znalazł nigdzie pogrzebacza. Telefon był zniszczony. W kieszeni znalazł tylko kawałek batonika, którego nie dojadł. Wyjął go i ugryzł.

Nieznajomy przerwał ciszę.

— Mogę... kawałek?

Hubert ugryzł jeszcze raz.

— Kim jesteś do cholery i jak się tu dostałeś?

— Uwięzili mnie tutaj.

— Kto cię uwięził?!

— Ludzie z zamku. Żeby zdechł. Mogę?

Mężczyzna spojrział na baton i przełknął ślinę. Hubert ugryzł trzeci raz. Ocenił spokojnie, że starczyło jeszcze na dwa razy.

— Ile czasu tu spędziłeś? — spytał spokojnie.

— Nie wiem. Tydzień, może dwa. Błagam...

Hubert rzucił batonik nieznajomemu, który pożarł go natychmiast.

— Dlaczego cię tu uwięzili?!

— Zabiłem pana młodego – odparł tamten..

— Że co?!

— Znam wyjście. Zapisalem, którędy mnie tu nieśli.

— Tak? To czemu z niego nie skorzystasz?

Mężczyzna wyjął zza pleców pogrzebacz Huberta i uderzył w swoje nogi z całej siły. Żaden mięsień na twarzy mu nawet nie drgnął.

— Coś mi zrobili. Jestem sparaliżowany.

*

Korytarze wydawały się nie mieć końca. Hubert, choć sam był ranny, niósł nieznajomego, słuchając jego poleceń. W lewo, w prawo, prosto. I teraz długo pod górę. Szli kilkadziesiąt minut. Skręcili w wąski korytarz i zauważyli niewielkie drzwiczki.

— I co teraz? — spytał Hubert.

— Gdzieś tu jest okno. Mignęło mi, jak mnie nieśli.

Hubert położył nieznajomego obok drzwi i zaczął rozglądać się po pobliskich korytarzach. Po chwili znalazł. Przeniósł przewodnika i podsadził go. Następnie podskoczył i sam wydostał się na zewnątrz. Byli na terenie zamku.

Obydwaj oblepieni błotem i cuchnący. We włosach mieli grudki ziemi, a odświętne ubrania wisiały na nich w strzępach. Hubert pomyślał, że wygląda identycznie jak postać z rysunku Marty. Marta. Czy ją jeszcze kiedyś zobaczy?

Utykając, podszedł do niewielkiej kałuży i zaczął obmywać czarną od ziemi twarz. W tym czasie księżyc wyszedł zza chmur, oświetlając twarz leżącego mężczyzny. Hubert go poznał. To był pan młody, którego ponoć zepchnął do studni!

— Co jest, kurwa?

— Nie pomógłbyś mi, gdybym ci powiedział. — Mężczyzna wyciągnął dłoń do Huberta. — Poczekaj. Ja też jestem ofiarą. Tak jak ty byłem kamerzystą.

Hubert zaczął uciekać. Pędził jak szybko mógł w kierunku parkingu, który powinien być za tą górką.

— Tam jest! Brać go! — usłyszał za swoimi plecami.

Tłum ponownie ruszył za nim w pogoń. Hubert poczuł się jak kot zaszczuty przez watahę żądnych krwi zdziczałych psów.

— Jezu, już po mnie... — wyjąkał zdyszany.

Za górką jednak nie było parkingu, którego się tam spodziewał. Okazało się, że jest

na szczycie zamkowego muru, a przed nim roztaczał się piękny roztoczański krajobraz i przepaść.

Odwrócił się w stronę pędzącego w jego kierunku tłumu.

Nie było innego wyjścia.

Zanim pierwsza osoba zdążyła go dopaść, skoczył w otchłań.

*

Obudził się w szpitalu. Jarzeniówka oślepiła jego zmęczone oczy. Usłyszał dyszenie. Przeraził się. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to on tak dyszy.

A jeśli zaraz w odwiedziny przyjdzie któryś z uczestników pogrzebu i otrzymam cios w klatkę piersiową kuchennym nożem? – pomyślał przerażony.

Chciał się zerwać i uciec, ale nie mógł. Zamiast tego przesunął się tylko o kilka centymetrów i zrzucił na podłogę tackę z jedzeniem. Był chyba cały w gipsie.

W pokoju rzeczywiście ktoś był. Serce zaczęło mu bić szybciej.

— Kochanie, jak się czujesz?

To był głos Marleny. Hubert ponownie odleciał w nicość.

*

Po kilku tygodniach rekonwalescencji w końcu mógł opuścić szpital. Na powitanie zebrała się cała rodzina. Dziewczynki piszczały z radości, a żona ścisnęła go, całowała i uśmiechała się serdecznie. Hubert był szczęśliwy, że to wszystko już się skończyło.

Marlena poszła do kuchni zrobić mężowi kolację. Gdy wróciła do salonu, nie było go. Poszła do jego studia. Siedział wyprostowany przed monitorem komputera. Przeglądał nagrania z tamtego wieczoru.

— Nie jesz?

Odwrócił się do niej.

— Wszystkie pliki są puste. Nagrało się tylko śnieżenie.

Zaczął chciwie szperać po papierach.

— A umowa? Gdzie ona jest?

Umowa też gdzieś przepadła. Spojrzał na Marlenę, a w oczach stanęły mu łzy.

*

Tym razem podróż trwała sześć godzin. Hubert, co chwila stawał, żeby rozprostować nogę, która bardzo mu doskwierała od czasu wypadku. W końcu jednak dotarł na miejsce.

Po upiornym zamczysku nie było ani śladu. Tylko fundamenty i zaledwie kilka większych głazów walających się tu i ówdzie.

„Obiekt zabytkowy. Prosimy zachować szczególną ostrożność” – głosiła tabliczka przytwierdzona do szczątków niewielkiej, ocalałej ściany.

Hubert rozejrzał się uważnie. Żadnych śladów zamieszkania. Na trawie leżało mnóstwo opróżnionych puszek i butelek po piwie. Spojrzał tępym wzrokiem w stronę nieba. Jasne promienie słońca oświetliły znajdujące się w dolinie miasto.

— Roztocze — westchnął Hubert i przejechał palcem po bliźnie na czole.

Rys. Anna Nowacka



ZMYWARKA

Agnieszka Pilecka

Od lat mamy w domu zmywarkę do naczyń. Nigdy nie było z nią problemów. Co prawda odnoszę wrażenie, że z roku na rok naczynia wyglądają na coraz brudniejsze, ale na pewno mi się wydaje. Zawsze umieszczaliśmy w niej talerze i sztućce, po czym wkładaliśmy specjalną kostkę. Później wystarczyło zamknąć maszynę, wybrać odpowiedni program i gotowe. Zmywarkę zawsze włączaliśmy na noc, a rano czekał na nas świeży zestaw do brudzenia. Niezwykła rzecz taka zmywarka.

Niestety, ostatnio zaczęło dziać się coś dziwnego. Obudziłem się w nocy, bo zaschło mi w gardle. Wstałem i poszedłem do kuchni po coś do picia. Stało tam białe чудо, które od lat oszczędzało nasze ręce i czas. Proces mycia jeszcze się nie zakończył, gdy ujrzałem coś. niepokojącego. Strużki czerwonej cieczy spływały po zmywarce, a pod nią tworzyła się

niewielka kałuża. Było to tak niesamowite, że uznałem to za sen. Faktycznie, chyba nie było to niczym innym, gdyż rano krew zniknęła. Ani żona, ani dzieci nic nie widziały, zapomniałem więc o całym zajściu. Aż do następnej nocy.

Obudzony, znów udałem się do kuchni. Ku memu zaskoczeniu plama krwi pojawiła się i tym razem, nawet większa. Uznałem jednak, że po raz kolejny mi się przewidziało i po przejrzeniu lodówki poszedłem spać. Sytuacja powtórzyła się jeszcze dwa razy, ale nie chcąc robić z siebie kretyna, nie rozmawiałem z nikim na ten temat.

Nadszedł weekend. W sobotę rano wraz z żoną i dziećmi poszliśmy do parku. Piękna pogoda, słonecznie, delikatny wiaterek – grzechem byłoby siedzieć w domu. Niestety, podczas gry w piłkę Bartek, mój pięcioletni syn, przewrócił się i rozciął sobie kolano. Żona została z Zosią, bo ta nalegała na zabawę na placu zabaw, natomiast ja zabrałem poszkodowanego do domu, aby zrobić mu opatrunek. Otworzyłem szufladę, w której trzymamy wszystkie leki, plastry i pełno innych dziwnych rzeczy, jakie można kupić w aptece na podobne dzisiejszemu wypadki. Pamiętam, że mieliśmy całe, nieotwarte jeszcze opakowanie plastrów. Sam kupiłem je kilka dni temu. Opakowanie znalazłem, ale rozerwane i puste. Zdenerwowany chwyciłem za telefon komórkowy.

— Monika, do cholery, gdzie są plastry?!

— Jakie plastry? — zdziwiła się.

— Srakie! Przecież muszę zrobić Bartkowi opatrunek. Gdzie je zabrałaś?

— Nie ruszałam ich.

Rozłączyłem się.

— Bartek, brałeś te plastry?

— Ee-ee — kiwnął przecząco głową.

Widać było, że ledwo powstrzymuje łzy. Przemylem mu ranę, włączyłem Cartoon Network i poprosiłem, aby poczekał w domu. Kreskówka o krowie i kurczaku tak go pochłoneła, że zapomniał o bólu. Ja w tym czasie udałem się do apteki po nowy zestaw chroniący rany naszych pociech przed bakteriami. Po kilkunastu minutach wróciłem i po założeniu opatrunku ruszyliśmy znów na plac zabaw. Nasze dzieci bawiły się w piaskownicy, a ja spokojnie zacząłem rozmowę z żoną:

— Już po wszystkim, zwykle skaleczenie, obejrzałem dokładnie.

— O co ci chodziło z tymi plastrami? — przerwała Monika.

— Nie było ich. Pamiętasz, jak kupiłem nowe opakowanie kilka dni temu? Jest pudełko, ale puste. Jesteś pewna, że ich nie brałaś?

— Tak. Zresztą wiesz, że u nas w domu plastry są używane niemal wyłącznie wtedy, gdy dzieciom coś się stanie, a ostatnio nic na szczęście się nie działo. Bartek ich nie wziął?

— Mówi, że nie.

— Zosia nie dałaby rady dosięgnąć do tej szuflady. Może ty je brałaś i nie pamiętasz?

— Może... — powiedziałem to tylko po to, by nie denerwować żony. Krew ze zmy-

warki. Znikające plastry. Paranoja... A może to naprawdę ja je wziąłem tylko nie pamiętam?

Gdy wszyscy już poszli spać, udałem się do kuchni. Specjalnie nie włączyłem jeszcze zmywarki. Sam nie wiem, czego szukałem, ale znalazłem to. Pod zlewem przy śmietniku leżała szmatka zabrudzona krwią, zupełnie jakby ktoś ścierał nią co noc czerwone plamy ze zmywarki. Ale kto?

— Nie, to niedorzeczne — pomyślałem.

Włożyłem tabletkę z proszkiem, zamknąłem, przekręciłem pokrętko. Pstryk! Zaszumiało, zaburczało. Mogłem iść spać — zmywarka włączona.

Jednak rano czekała mnie nowa niespodzianka. Gdy otworzyłem mojego Bosha, zobaczyłem, że kawałek kostki został. Czy to możliwe? Z nocy na noc zostawał coraz większy kawałek, a naczynia nie lśniły już tak jak kiedyś. Postanowiłem, że za kilka dni udam się do serwisu, jeśli problem sam się nie rozwiąże. Myślałem, że to chwilowa usterka; jak się okazało, myliłem się.

Kolejnego ranka przeżyłem szok. Pod zmywarką była krew. Nie wiedziałem, czy mam znów urojenia, na wszelki wypadek zmyłem ją z podłogi, aby żona i dzieci nie wpadły w panikę. Otworzyłem zmywarkę. Tabletkę z proszkiem leżała w całości, tak jak włożyłem ją zeszłej nocy. Naczynia nie wyglądały najlepiej – jeden wielki syf. Wściekłem się, że muszę zmywać ręcznie. Przez to oczywiście spóźniłem się do pracy. Cały dzień byłem podenerwowany. Umówiłem się z facetem z serwisu i od razu po robocie zabrałem tego grata z kuchni. Chciałem sam wynieść to cholerstwo, ale było tak ciężkie, że sąsiad musiał mi pomóc zatańczyć je do samochodu. Zatrzasnąłem bagażnik z machiną w środku i pojechałem dowiedzieć się, jak długo będę męczył się z ręcznym zmywaniem.

Dotarłem na miejsce. Wielki garaż pomalowany w stylu czegoś, co gówniarze uważają za graffiti. Stałem na chwilę i próbowałem doszukać się w tych bohomazach jakiegoś sensu, ale poza „HWDP” i innymi beznadziejnymi, niewnoszącymi nic tekstami, nie znalazłem niczego sensownego lub zwyczajnie godnego uwagi. Ze środka wyszedł brodaty facet w wytartych jeansach i starej flanelowej koszuli w czerwonej kratę. Śmierzdział fajkami i kawą. Witając mnie, zaciągnął się po raz ostatni, rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał papierosa znoszonym trampkiem. Pomógł mi wnieść zmywarkę do środka, a ja w tym czasie opowiedziałem mu, co się stało. Oczywiście, powiedziałem tylko o awarii, nie wspominałem nic o krwi i ginących plastrach, bo uznałby mnie za wariata.

— Ile lat ma ta zmywarka?

— Jakies dziesięć.

— Yhy... A kiedy wymieniał pan ostatnio człowieka?

— Słucham?! — spytałem z niedowierzaniem. Przecież to nie miało sensu.

— No, kiedy ostatnio wymieniałeś człowieka? — powtórzył.

— Ale jakiego człowieka? Nie bardzo rozumiem...

— Nie zapoznałeś się z instrukcją dołączoną do sprzętu, prawda? Dobra, nie tłumacz się. Najlepiej pokażę ci, na czym to polega. — Otworzył zmywarkę. Z przodu był

niewielki pojemniczek na tabletkę. Wskazał na niego palcem.

— Tu wrzucasz cukierka.

— Tabletkę do mycia, tak? — zapytałem zbity z tropu.

— Jak zwał, tak zwał. Oni mówią cukierek. Schył się. Widzisz ten wiatraczek na suficie?

— Widzę, tylko czemu on jest taki brudny? Jakiś ketchup i resztki mięsa z obiadu, fuj, nic dziwnego, że przestało działać. Pewnie się zaklinowało.

— To nie ketchup, ani mięso — ciągnął facet z brodą. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstował mnie, ale odmówiłem. Wziął jednego do ust i zapalił. Zaciągnął się porządnie, wypuścił dym, ja w tym czasie obserwowałem urządzenie. Wewnątrz zmywarki na ścianie była jakby dźwignia. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Pociągnąłem. Nagle ścianka otworzyła się, a ze zmywarki wypadło coś z hukiem.

— Zabiłeś go — powiedział mój towarzysz spokojnie, po czym znów się zaciągnął papierosem.

— Co?! — Tego było za wiele. Miałem już odejść, gdy wtem zobaczyłem, że tym, co wytoczyło się z wnętrza, jest człowiek. Byłem w szoku. Co robią zwłoki w mojej zmywarce?

— Zabiłeś — powtórzył brodaty.

Przełożył papierosa do lewej dłoni, a prawą chwycił za rękę zakrwawionego człowieka i rzucił mi go pod nogi. Wtedy ujrzałem jego spuchnięte dłonie, obdrapane i porośnięte strupami. Całe ciało miał zniszczone od wody. Na jego zmęczonej twarzy osadzone były wielkie pożółkłe oczy. Na głowie nie sposób było odszukać choćby małego miejsca, które nie byłoby porozcinane lub poobklejane kolorowymi plasterkami – tymi, które kupiłem dla moich dzieci. Byłem wstrząśnięty.

— Jak to się stało?

Bez słowa podał mi instrukcję do pierwszej lepszej zmywarki i kazał czytać jeden z punktów:

„Co kilka lat należy wymieniać człowieka w zmywarce. W przeciwnym razie może urosnąć do takich rozmiarów, że przestanie się mieścić. To może doprowadzić do kalectwa lub nawet śmierci. Przynajmniej raz w roku należy oddać zmywarkę do serwisu, gdzie nasi pracownicy sprawdzą stan zdrowia człowieka. Gdy zajdzie konieczność zmiany diety, zalecą podawanie mu jako wynagrodzenie cukierków innej firmy niż stosowane dotychczas.”

Byłem w szoku. Przeczytałem to jeszcze kilka razy, ale nadal nie mogłem uwierzyć.

— Ale to nie możliwe... — wyjąkałem.

— Czyżby? — Facet stojący obok spojrział wymownie na zwłoki.

— No ok, ale jak wy zmuszacie ludzi, by tak pracowali? Jak mogą dać się zamknąć w tak ciasnym pomieszczeniu na kilka lat?

— Sami tego chcą.

— Sami?! A co niby z tego mają?

— Cukierka.

— To wszystko za głupiego cukierka? — patrzyłem z powątpiewaniem na zmasakrowane ciało.

— Tak. Uzależniają się od nich. Gdy zmywają ręcznie w swych domach, często jedzą te cukierki. Po jakimś czasie wręcz błagają, by ich tu zatrudnić, bo nie mogą bez nich żyć. Czego im w życiu potrzeba więcej? Mają gdzie spać, myją się podczas zmywania. Potrzeby fizjologiczne też tam załatwiają, stąd czasem ten bród na talerzu. A w dodatku dostają cukierka. A jak im to nie wystarcza, mogą jeść resztki z obiadu, przecież jest ich pełno. Ale tego im nie trzeba, bo mają cukierka. Cukierka, za którego są w stanie zrobić wszystko.

Brodacz najwyraźniej miał mnie za idiotę. Ok, widziałem faceta w zmywarce, ale nigdy nie uwierzę, że wlaź tam z własnej woli. A już na pewno nie dla głupiego cukierka, którego dostaje raz na dobę. Uznałem, że nigdy więcej nie chcę mieć zmywarki. Zostawiłem tego grata i wyszedłem szybkim krokiem, by nie słuchać już idiotycznych historyjek o słodyczach.

Wsiadłem do samochodu i odjechałem bez pożegnania. Wyjeżdżając, zobaczyłem kątem oka uśmiech na twarzy serwisanta. Jakby chciał powiedzieć: „jeszcze tu wrócisz”. Przyśpieszyłem.

— Co za kretyn! — pomyślałem.

Oczywiście nie obyło się bez korków w mieście. Utknąłem w nich głodny i zły. Otworzyłem schowek z nadzieją, że znajdę coś do jedzenia. Jak na ironię, były tam cukierki. Pewnie dzieci zostawiły. Odwinąłem jednego, później kolejnego. Nic dziwnego, że dzieciaki się tym zajadają. Wróciłem do domu. Po kolacji zabrałem się za zmywanie. Żeby umilić sobie ten proces, wziąłem cukierka, którego zabrałem z samochodu. Po co przez tyle lat mieliśmy zmywarkę? Przecież takie mycie naczyń to bardzo przyjemna czynność. Mógłbym tak zmywać bez przerwy – rozmyślałem.

Od tamtej pory minęło już kilka tygodni. Zużywam więcej kubków niż zwykle, by mieć więcej do mycia. Nieraz nawet specjalnie brudzę te, które nie były używane. Cały czas myję ręcznie. Nie myślcie, że jestem naiwny i robię to za darmo. W sumie to zapłata jest olbrzymia, jak na niewielką pracę, którą wykonuję: po każdym zmywaniu nagradzam się cukierkiem Calgonit. Najgorsze jest to, że powoli mi się kończą i nigdzie nie mogę ich znaleźć. Jutro jadę do serwisu zmywarek. Tam mają też różne akcesoria dla tych, co nie korzystają z maszyn, tylko z własnych rąk. Może oni będą mieli więcej cukierków?

Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do powstania pierwszego numeru Histerii:



Towarzystwo

facebook.com/TOWARZYSKA



Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

